

Dyvonne

Romantyczne małżeństwo

Rozdział 1

Do paryskiego oddziału banku angielskiego „Comtes Reunis” weszła wytworna i majestatyczna lady Małgorzata Helster, księżna de Foringham. Księżna de Foringham, biała jak narcyz, złotowłosa jak gwiazda, była w Paryżu królową angielskiej kolonu. Woźni skłonili się z uszanowaniem dla jej majątku i urody. Dał się słyszeć szmer podziwu i uwielbienia stenotypistek zaalarmowanych przez chłopca na posyłki. Dziewczęta, zawsze gdy zjawiała się ta wielka pani, uchylały drzwi, by jej się przyjrzeć.

Bank „Comtes Reunis” znajdował się przy krętej, przypominającej zaułki starego Paryża ulicy Pillet - Will. Położona między bulwarem Haussmanna a bulwarem des Italiens, jakby uciekła od hałasu i szalonej wrzawy wielkich arterii, pozostała cicha i spokojna jak kasa na pieniądze.

Można by niemal powiedzieć, że sama jest taką olbrzymią kasą. Ile milionów nagromadzono w opancerzonych piwnicach tych wysokich, kamiennych gmachów! Ile miliardów krąży jak nieprzerwany potok, ciepły Golfstrom, pomiędzy poszczególnymi buchalteriami tych firm. Wystarczy bowiem jedno pociągnięcie pióra obciążającego lub odciążającego rachunek, aby banki przesyłały sobie wzajemnie lub wycofywały okazałe sumy. A jednak te interesy, prowadzone na wielką skalę, podlegają gorączce giełdowej, wahanom walutowym, które powoduje gdzieś, bardzo daleko, jakiś wylew czy pożar pochłaniający miliony w którejś z prowincji Brazylii lub w okręgu naftowym na Uralu. Leczn tego rodzaju katastrofy nadwierzają tylko rachunki.

I nawet wewnątrz ciche korytarze są tak wyścielone dywanami, że bank mógłby się zapaść zupełnie niepostrzeżenie, bez śladu...

Lady Małgorzata, wchodząc tego popołudnia do banku angielskiego, dostrzegła wokoło tylko przedsionki z głębokimi

skórzanymi kanapami i wielkimi mapami świata, na których mnóstwo czerwonych punktów wskazywało czterysta oddziałów banku Wilsona, poczynając od oddziału A przy ulicy Pillet - Will w Paryżu, aż do oddziału GZ, wśród lodów Georgii, w północnej Kanadzie. Księżna de Foringham słyszała tylko dzwonki telefonów i niemal nieuchwytny stuk maszyn do pisania. Nic jednak nie zdradzało znacznych przesunięć kapitałów, decydujących o upadłości całych państw.

Lady Helster chciała pomówić z dyrektorem, panem Janem Bertonem.

- Pana dyrektora nie ma - odparł woźny.

- Może mógłbym go zastąpić - powiedział, zbliżając się Gerard Pasquier, młody, wysoki szatyn o falujących włosach.

- Niewątpliwie - przyzwoliła księżna z uśmiechem. - Pragnę jedynie zasięgnąć informacji dla mego męża, który bawi obecnie z misją dyplomatyczną w Berlinie.

Zanim jednak wypowiedziała zdanie, zwrócone do Gerarda Pasquiera, wsunął się zręcznie pomiędzy księżną a jej rozmówcę inny młodzieniec, który ostentacyjnie zajął miejsce Pasquiera.

- Raczy pani wejść do mego biura - zaproponował.

Lady Helster wydawała się przez sekundę zmieszana. Zobaczyła, że piękny Gerard usunął się bez słowa sprzeciwu przed Jackiem Harvey'em, prawdziwym Brytyjczykiem, upiękaszonym kosmetykami i sztywnym jak kij. Domyśliwszy się, że Anglik zajmuje w banku wyższe stanowisko od Francuza, nie nalegała i weszła do biura Jacka.

Gerard, patrząc, jak znika, nie okazywał zdziwienia, lecz mruknął przez zęby:

- Oczywiście... byłem niemądry... czyż posiadam biuro, godne księżnej?

I podczas, gdy Jack odpowiadał na pytania wielkiej pani w uroczystym, z przepychem urządzonym gabinecie, Gerard wrócił do swoich obowiązków.

Och! Jego biuro było zupełnie inne, skromnie urządzone, lecz na biurku... może to trochę niestosowne?... stała w szklance róża! Przepiękna, śmiała róża, kpiąca sobie z banku, cyfr i abstrakcji! Porównajmy Jacka z Pasquierem. Obaj nie mają jeszcze trzydziestu lat. obaj są smukli, zdrowi i piękni. Jack jest wypielegnowany jak Anglik; Gerard jest równie bez zarzutu, a przy tym cechuje go jakaś nieokreślona fantazja... Krawat wiąże miękko i artystycznie, a włosy układa w lekkie fale. Widać, że nie jest „człowiekiem - cyfrą”. W jakimś kąciku jego umysłu niewątpliwie kryje się trochę poezji, tak jak w rogu jego biurka znajduje się róża i piękny portret młodej dziewczyny.

Jack i Gerard są siostrzeńcami baroneta Edgara Wilsona, finansisty, udzielającego posłuchania królom i człowieka nieposzlakowanej uczciwości. Obaj młodzieńcy są więc kuzynami, ale gdy Laura Wilson, matka Jacka, wyszła za Harveya, Ania, matka Jacka, wyszła za Rajmunda Pasquiera, Francuza, co nie podobało się sir Edgarowi. Nie dlatego, że Rajmund Pasquier był Francuzem - sir Edgar należał zawsze do zagorzałych przyjaciół Francuzów - lecz dlatego, że Rajmund Pasquier był artystą, cyganem niezdolnym do stałego zajęcia i dlatego, że zmarł w nędzy. Gerard odziedziczył po ojcu fantazję, lecz po matce odwagę i wytrwałość Wilsonów. Znał włoski i angielski. Jego prezencja wydawała się jednak sir Edgarowi nie dość poważna. Finansista był przekonany, że Gerard „źle skończy”, to znaczy, że zacznie pisać powieści. Wilson umieścił go w swym banku i, jakkolwiek Gerard wykonywał swą pracę starannie, nie dawał mu wyższego stanowiska, wysuwając na pierwszy plan Jacka, tego szczęśliwca, zawsze zapiętego na

osiem guzików, gdyż, zdaniem stenotypistki, Chipette, Jack był za wysoki, aby cztery wystarczały.

Mimo że Pasquier wściekał się z powodu tej różnicy w traktowaniu, nie zazdrościł kuzynowi i obaj żyli wygodnie. Toteż gdy Teodor z połowicznym uszanowaniem (dla Pasquiera wszystko ograniczało się do połowy), przyszedł Gerardowi powiedzieć, że pan Harvey prosi go do siebie, Pasquier pośpieszył do kuzyna. Może spodziewał się ujrzeć znowu śliczną księżnę...

Lecz gdy wszedł do biura Jacka, lady Helster już tam nie było.

- Wybacz, mój kochany - rzekł Jack na jego widok - że wprowadziłem księżnę de Foringham do mego biura...

- Nie usprawiedliwiaj się. To ja straciłem głowę. Harvey zaczął się śmiać.

- Można ją stracić. Skoro księżna odeszła, pomówmy o interesach. Wszak wiesz, że Petroleum Company złożyła u nas trzysta milionów. Ładny kasek, co? Poza tym dowiedziałam się przed chwilą, że nasz kochany dyrektor Berton wraca dopiero w przyszłym tygodniu. Będziesz chwilowo szefem. Ja wyjeżdżam dziś wieczór.

- Na inspekcję po całym kraju?

- Tak. Żona zdecydowała się mi towarzyszyć. Najpierw pojedziemy na południe: Hyeres, Maures, Saint - Raphael, Cannes, Mentona i wpadniemy do Włoch. Tam żona zatrzyma się na dłużej, a ja wrócę sam przez Pireneje.

- Gdzie zastaniesz śniegi.

- W Biarritz nie brak słońca.

- Jednym słowem piękna podróż?

- Cudowna!

Gerard powinszował mu serdecznie, otrzymał zlecenia i życzył szczęśliwej podróży.

- Niech pani wyjdzie za mąż, panno Moret - rzekł dobrodusznie Jack Harvey do swej stenotypistki oczarowanej wizją tak wspaniałej podróży. - Może pani też będzie odbywała piękne wyprawy.

Chipette Moret potrząsnęła ładną, kasztanową główką.

- Ja? Wolałabym grać w filmie!

- Naprawdę?

- Ale nie chciałabym grywać ról omdlewających kobiet. Pragnę przygód... Wskakiwałabym do pociągu w ruchu, zatrzymywałabym parowóz...

- ...jak spłoszonego konia? Do diabła!

- Pływałabym po wzburzonych falach, czepiałabym się...

Nie dowiedziano się, czego Chipette pragnęła się czepiać, gdyż Jack przestał słuchać. Wrócił do rozmowy z kuzynem o interesach, a o trzeciej wyszedł z banku.

Gerard śledził wzrokiem odchodzącego brata. W tej chwili wszystko wydawało mu się beznadziejne. Westchnął, gładząc pieścotliwie zdobiacą jego biurko piękną fotografię Augusty Blanchot.

Panna Blanchot, córka niższego urzędnika, miała niemal równie królewski wygląd jak lady Małgorzata Helster. Po dokładnym przyjrzeniu się fotografii, dostrzegano, że otulający ją biały płaszcz był bliżej spokrewniony z królikiem niż z gronostajem, a sznury pereł z pewnością fałszywe. Lecz całość robiła wrażenie. Gerard wzdychał już przeszło rok, a Augusta chwilami jakby go zachęcała...

Myślał o niej, gdy nagle przeznaczenie wtargnęło do jego biura i zjawilo się pod zupełnie niewinną postacią dobrego przyjaciela Leonarda Martina.

Był to dwudziestopięcioletni chłopak, syn bogatego giełdjarza, bardzo ceniony przez sir Edgara.

Sir Edgar zapraszał chętnie Martina, gdy ten przyjeżdżał do Londynu. Grywali po południu w golfa i stary baronet był dumny, ilekroć udało mu się pokonać młodego partnera.

Martin wolał Gerarda od Jacka.

- Myślałem, że jesteś w Londynie! - zawołał Pasquier na widok Martina.

- Byłem dziś rano - odrzekł Leonard - lecz właśnie przyleciałem.

- I zamiast udać się wprost do domu, przyszedłeś do mnie? To ładnie - powiedział serdecznie Gerard.

- Muszę pomówić z tobą o bardzo poważnych sprawach - oświadczył Leonard.

- Istotnie, masz uroczystą minę. Powiedz mi przede wszystkim, czy to ciebie dotyczy? Twoja żona ma się dobrze?

- Owszem. Nie, to dotyczy ciebie i chciałem cię zawiadomić możliwie najszybciej, żebyś miał czas się zastanowić i odparować cios.

- Co za cios? - zapytał Pasquier.

- Przygotowany przez twego wuja Edgara.

- Pisał ci o tym z Afryki, po której od miesiący podróżuje?

- W czasach istnienia komunikacji samolotowej nie można być niczego pewnym, mój kochany. W Londynie spodziewano się twego wuja dopiero za tydzień... Otóż Wczoraj wieczorem zjawił się, wróciwszy z Maroka przez Tuluzę, Le Bourget i Croydon!

- Znam ten jego sposób spadania niespodziewanie na kark urzędnikom. - Gerard się zaśmiał. - Dobrze się czuje?

- Świetnie. Jadłem z nim wczoraj obiad. I rozmawialiśmy o tobie. Gerard oparł się niedbale o fotel.

- Czy zamierza może podwyższyć mi pensję o dwadzieścia pięć franków... nie, co mówię! O dwanaście i pół franka miesięcznie?

- Bądźmy zwięzli, gdyż czas jest na wagę złota. Wszak wiesz, jak jestem ci oddany. Otóż uprzedzam cię o niebezpieczeństwie.

- Czyżby wuj rezygnował z mych usług?

- Gorzej. Wraca z bagnistych terenów Gabonu, gdzie założył oddział GR w Uga - Banda.

- Który nigdy nie jest wypłacalny, ponieważ wszyscy dyrektorzy wymierają na gorączkę - odpowiedział Gerard.

- Otóż chce ciebie tam wysłać na miejsce ostatniego dyrektora... nieboszczyka.

- Bardzo dziękuję. Ładna rodzina! Nie proponuje tej posady pewnej... pewnej jak śmierć Jackowi, który byłby tam zdecydowanie bardziej odpowiedni.

- Nie mogłem się powstrzymać, by nie zwrócić na to uwagi twego wuja, mój kochany. Wiesz, co mi odpowiedział? Wysłałby bez wahania Jacka, gdyby nie był żonaty. „Jeśli wybrałem Gerarda, to dlatego, że jest kawalerem. Uważam” - mówił - „że chłopak w jego wieku może wszystkiemu stawić czoła. Byłem od niego młodszy, gdy zacząłem zdobywać majątek, i również nie miałem rodziny. A czy wiesz, Martinie, jak? Otwierając bank w Brazylii pośród bagien i moskitów, których ukąszenie groziło żółtą febrą”.

- Cóż on tam robił, na Boga! - wykrzyknął Gerard.

- Właśnie też go o to pytałem. „Zbierałem zarobki poszukiwaczy złota pobliskich kopalń” - odparł - „którzy dotąd, nie wiedząc, gdzie umieścić pieniądze, trwonili je po szulerniach”. Sir Edgar zażywał codziennie zamiast pierwszego śniadania dwadzieścia pięć do czterdziestu miligramów chininy, spędzał w upałach bezsenne noce i narażał, życie, gdy pijani klienci chcieli odbierać swe pieniądze, by je przegrać. Musiał ich bronić w interesie właścicieli. Twierdzi, że w ten sposób do czegoś doszedł.

- ...i pragnie, bym poszedł w jego ślady.

- Tak przypuszczam.

Gerard biegał po pokoju nieco blady.

- Nie jestem tchórzem - rzekł w końcu, stanąwszy przed przyjacielem. - Mając szesnaście lat, tuż przed zawarciem rozejmu, wstąpiłem do wojska, zostałem ranny jedenastego listopada. Nie zaznałem jeszcze w życiu szczęścia. Moja matka umarła młodo, a ojciec mnie nie kochał. Jako dziecko cierpiałem, przebywając w pensjonacie... w młodość dokuczał mi brak pieniędzy... jeszcze teraz mi to dolega. Czy masz za złe, że chciałbym wreszcie zaznać trochę szczęścia? Czyż mam tam pojechać, narażać głupio życie i umrzeć na febrę, nie wiedząc, co znaczy krzyknąć z zapalem: życie jest piękne? To niemożliwe!

Martin to rozumiał - toteż westchnął wzruszony.

- Podzielam twe zdanie, kochany przyjacielu. Nikt nie ma prawa wysyłać cię tam wbrew twej woli. Jest to nieludzki pomysł, gdyż wiem, iż dotąd znajdowano na to stanowisko tylko jakichś wykolejeńców, ludzi skompromitowanych, którzy wyjeżdżali, by odzyskać dobre imię lub zginąć, albo ryzykantów nie mających już czego szukać w Europie. Lecz ty do nich nie należysz. Pozwolisz mi wyjawić mój plan?

- Bardzo cię proszę, mów zupełnie szczerze - powiedział Gerard bez wahania.

- Na twoim miejscu opuściłbym ten dom, bo nie obchodzą się z tobą tutaj sprawiedliwie. Nie pracowałbym u zwierzchnika, który jest do mnie uprzedzony. Próbowałbym szczęścia gdzie indziej. W jaki sposób zjednasz sobie sir Edgara, jeśli wyśle cię do odległych krajów, gdzie być może szybko zginiesz?

- Masz słuszość. Lecz gdybym był, do licha, żonaty - dodał gwałtownie Gerard - znalazłby z łatwością kogoś innego na moje miejsce!

- Tak, gdyż tam może wysłać tylko kawalera.

- A więc się ożenię!

- No tak - rzekł filuternie Martin - ale sir Edgar przyjeżdża pojutrze. Gdybyśmy byli w Ameryce, mógłbyś to łatwo przeprowadzić, lecz we Francji trzeba co najmniej jedenastu dni...

- Mówiąc o ożenku, mam na myśli zaręczyny z dość bliskim terminem ślubu, aby wuj...

- Słusznie... A czy mam zaszczyt znać osobkę, którą wybrałeś do tej „małej formalności”? Przy tych słowach Martin patrzył w stronę fotografii panny Blanchot...

W półmroku biały płaszcz „uszyty w domu” wyglądał jak królewskie okrycie... Gerard pochwycił spojrzenie przyjaciela i skinął głową.

- Tak, to o niej myślę. Gdybym mógł z powodu sprzyjających okoliczności uzyskać jej zgodę... Niejednokrotnie zdawała się mnie ośmielać...

- Aby potem cię odsuwać. To kokietka - rzekł Leonard.

- Nie - zawołał Gerard. - Lecz uroda nakłada pewne obowiązki, a ona jest taka piękna!

- Och... jaskrawa uroda, z którą wstyd się pokazać w taksówce. To kobieta, która powinna mieć rolls-royce'a, pałac i... przygody... w przyszłości.

- Zabraniam ci tak mówić, Leonardzie!

- No, mogę się mylić. Jeśli zgodzi się wyjść za ciebie, nie będę miał do niej żadnych uprzedzeń.

- Jestem dobrej myśli, Leonardzie, i jutro rano wstąpię do ciebie do banku, by ci oznajmić o mych zaręczynach!

- Powodzenia - życzył Martin. - A teraz muszę uciekać. Zobaczymy się jutro!

Lecz Gerard nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z fotografii Augusty, która rysowała się jeszcze w półmroku.

Czy potrafię ją przekonać? - pomyślał.

Rozdział 2

Augusta Blanchot przyjmowała.

Było to małe zebranie popołudniowe. Panna Blanchot nie mogła zresztą nigdy urządzić większych przyjęć... Mieszkanie jej rodziców, przy ulicy Chateaudun, było niezwykle szczupłe. Młoda panna mawiała często z przekąsem, że to nie jest mieszkanie, lecz szereg klitek... Istotnie, wąskie i długie pokoiki nie nadawały się do przyjmowania gości.

Augusta mimo całej pomysłowości nie potrafiła, niestety, podnieść sufitów ani rozszerzyć ścian. Od dwudziestu dwóch lat dusiła się w tych murach...

Zdała sobie sprawę z tego duszenia się dopiero po ukończeniu szesnastu lat, kiedy lustra zdradziły jej nagle, iż posiada wspaniałą postawę, dumny profil z wydatnym garbatym nosem zwanym przez życzliwych „burbońskim”, a przez wrogów, to znaczy przez jej przyjaciółki, mniej pochlebnie - profilem o wyrazie awanturnicy.

Augusta była ambitna, chciała wyrwać się ze skromnego otoczenia i czekała na „dobrą” partię, to znaczy z rolls-royc'em i pałacykiem w Lasku. Jak dotąd konkurenci ofiarowywali jej tylko maleńkie mieszkanie...

Gerard Pasquier był jednym z takich konkurentów. Można się było spodziewać, że zdobędzie on względy Augusty swą wartością moralną, wytwornością i intelektualnym oraz fizycznym wdziękiem. Ambitna panna była może nawet pod jego urokiem, lecz wykreśliła ze swego programu słowo „miłość” i zastąpiła je słowem „pieniądz”. Broniła się przed miłością.

Dyplomacja... Życie na zagranicznych dworach... Oficjalne przyjęcia. Było to marzenie Augusty, która nie wiedziała, że dyplomata, skazany na utrzymywanie się wyłącznie ze swych poborów, z żoną bez posagu, zmuszony

do ponoszenia kosztów swej funkcji reprezentacyjnej, żyje w biedzie.

Nagle usłyszała dzwonek.

Dziewiąta... kto mógł przyjść teraz, jeśli nie był zaproszony? Pani Blanchot poszła otworzyć, gdyż służąca wyszła do kina... i Gerard Pasquier wszedł do przedpokoju.

Augusta poznała jego głos i zmarszczyła brwi. Była wściekła, że śmiał przyjść w ten sposób, nie uprzedzając o odwiedzinach, i przeprosiwszy gości, wyszła nadąsana do Pasquiera.

- Proszę wejść do salonu - rzekła niechętnie. Gerard spostrzegł jednak przyjaciółki Augusty i odparł:

- Jestem zrozpaczony, że pani przeszkodziłem, lecz chciałbym właśnie pomówić z panią chwilę na osobności, na przykład w stołowym pokoju, o ile matka pani pozwoli.

Oczywiście, że matka nie miała nic przeciwko temu, wiedząc, iż Gerard zasługuje na zaufanie. Od dawna zresztą dawała młodemu człowiekowi do poznania, że ona i jej stary mąż byliby zachwyceni, gdyby ożenił się z ich córką.

- Nie mogę absolutnie opuścić moich gości - odrzekła na to Augusta.

- Czy pani Blanchot nie mogłaby im dotrzymać towarzystwa? - zapytał Gerard stanowczo.

Augusta spojrzała na Pasquiera ze zdziwieniem. Zazwyczaj był posłuszny jej królewskim rozkazom. Energia młodego człowieka zdumiała ją i poddała się jego nakazowi, dając dowód, że silna wola pokonuje wszystko.

- Dobrze - rzekła - lecz nie mogę panu poświęcić dużo czasu.

- Nie będę pani długo zatrzymywał.

Szybkie zwycięstwo zbiło trochę z tropu Gerarda. Teraz, znalazłszy się sam na sam z Augustą, drżał, by go nie wyproszono za drzwi.

- Jutro przyjeżdża wuj Edgar.
- Słynny baronet? Więc wrócił z podróży dookoła świata?
- Owszem. Wpadnie do Paryża tylko na jeden dzień, a potem zamierza udać się do Baku.

- I cóż mnie to może obchodzić? - zapytała, niecierpliwiając się Augusta.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł mu przedstawić panią jako mą narzeczoną.

- Och!... małżeństwo... między nami...

- Wszak rodzice pani udzielili mi swego przyzwolenia, a pani zdawała się chwilami godzić na ten projekt...

Był blady i piękny, gdy patrzył na nią błagalnie. Pomyślała o rozkoszach, których by zaznała u boku tego zakochanego i wytwornego młodzieńca. Równocześnie jednak uświadomiła sobie skromne życie, jakie musiałyby prowadzić. I poskramiając zew serca i młodości, lękając się skromnego trybu życia u boku Gerarda, Augusta odrzekła zupełnie wyraźnie:

- Nie powinien pan już na mnie liczyć, drogi przyjacielu.

Przyjął te słowa bez drżenia. Tylko jego głos był zmieniony, gdy zapytał:

- Czyżby pani była zaręczona?

- ...może...

- Wydawałoby się raczej, że pani chce się wykręcić, Augusto. Proszę pomyśleć o mojej miłości dla pani... o przyrzeczeniach, dawanych mi w lecie...

- Wszak wiadomo panu chyba, że je później cofnęłam? - zapytała nerwowo panna Blanchot.

- Miałem do pani zaufanie.

- Och! - odparła oschle Augusta. - Nie zniosę żadnych wyrzutów z pana strony. Jeśli pan przyszedł celem wymuszenia mej zgody, to niech pan lepiej odejdzie.

Pasquier podniósł głowę.

- Nie - rzekł. - Nie pójdę, zanim wszystkiego nie powiem.
- Czy to będzie długo trwało? - spytała zaniepokojona, nie śmiać go jednak naglić, gdyż czuła, że jest zdecydowany.

- Nie. Jeśli poślubię panią, Augusto, wuj da mi odpowiednie stanowisko.

- Mogę mieć coś lepszego... - szepnęła przez zęby.

- Jeżeli nie zgodzi się pani, bym ją przedstawił jako narzeczoną i o ile nie pobierzemy się wkrótce, wuj wyśle mnie jako dyrektora do oddziału banku w Afryce... w okolicy, gdzie panują śmiertelne choroby...

- Śmiertelne? Ależ bynajmniej, przy pomocy chininy można istnieć wszędzie. Czy nie ma pan ochoty trochę po podróżować? Wszak pan nigdy nie wyjeżdżał z Francji. Mężczyzna powinien koniecznie zwiedzić nieco świata. Nie pojmuję, dlaczego pan się waha...

- Więc będzie pani obojętnie patrzyła na mój wyjazd... być może bezpowrotny i nie obchodzi to panią zupełnie, iż stracę panią, która jest mi droższa niż życie!

- Nie dramatyzujemy. Miło mi, że odbędzie pan piękną podróż, nic więcej - odparła młoda dziewczyna, wzruszając ramionami.

- Istotnie, pani nie dramatyzuje! - rzekł gorzko. - Nie ma pani serca, Augusto. Żegnam. Nie zobaczymy się już nigdy!

- Dobrze... do widzenia - odparła, myśląc o czymś innym.
- Niech pan jak najprędzej wyjeżdża!

Wyprowadziła go do przedpokoju, otworzyła drzwi.

- Żegnam panią, Augusto...

- Do widzenia, kochany przyjacielu.

A ponieważ prowadziła taką politykę, by nigdy definitywnie nie zrażać żadnego konkurenta, dodała, zanim zamknęła drzwi:

- Proszę przyjść do nas na obiad w przyszłym tygodniu...

- Żegnam...

Drzwi zamknęły się i Gerard znalazł się sam na schodach.

Był oburzony. Zaznał w życiu dość przykrości. Najpierw wydrwił go wuj, a potem Augusta. Nie mógł wymusić, by panna Blanchot przyjęła jego oświadczyzny, lecz mógł uchylić się od spełnienia planów sir Edgara, porzucając posadę w banku.

Czy nie przysiągł sobie jednak, że zwycięży obojętność sir Edgara, pozyska jego zaufanie i zdobędzie należne mu wyższe stanowisko w banku? Nie, nie, nie ustąpi. Pozostanie. W końcu otrzyma to, na co zasługuje.

Gdybym przynajmniej mógł przedstawić ją jako narzeczoną... Wystarczyłoby to na tych kilka godzin, które wuj spędzi w Paryżu. Wobec bliskiej daty mego ślubu mianowałby jakiegoś innego narwańca na moje miejsce. Nawet, gdyby nigdy nie doszło do małżeństwa, niebezpieczeństwo byłoby zażegnane.

Na tę myśl Gerard omal nie wrócił do panny Blanchot, by poprosić ją o odegranie tej komedii. Przyrzekłby jej, że zwróci słowo zaraz po wyjeździe Wilsona, czyli gdy zniknie niebezpieczeństwo.

Lecz zachowanie się Augusty wysyłającej go do Afryki bez słowa litości, przeciwnie, z jakąś dziką radością, przejęło go takim wstrętem, że nie chciał nawet prosić jej o przysługę.

Lecz co począć z sir Edgarem?

Pomyślał znowu o przedstawieniu mu byle jakiej narzeczonej. Czyżby nie znał żadnej kobiety, mogącej odegrać tę farsę? Może to okazać się zbyt trudne. Wszak Wilson przyjeżdża w poniedziałek wieczorem. Zapewne zaprosi Gerarda na obiad do hotelu Królowej Izabeli, gdzie zwykle zajeżdżał. Nazajutrz odwiedzi bank; po południu będzie konferował z mężami stanu, zje obiad z którymś z nich i następnego dnia wyjedzie do Baku.

Gerard spędzi z nim najwyżej dziewięć godzin, z czego tylko w pierwszy wieczór pozostanie czas na intymne rozmowy.

Nietrudno będzie zatem odegrać przed nim w tak krótkim czasie komedię zaręczyn.

I nawet byłoby znacznie lepiej, gdyby sir Edgar uważał go nie tylko za zaręczonego, lecz żonatego.

Wszak mógł doskonale się ożenić w czasie nieobecności wuja i twierdzić, że list zawiadamiający o tym krąży gdzieś po świecie. Jako człowiek żonaty nie pojedzie na pewno do Afryki. Tylko że sir Edgar będzie chciał poznać jego żonę... No, to powie, że wyjechała... przebywa na prowincji... u starej, chorej matki... To wszystko można jakoś urządzić...

Przez całą noc Gerard obmyślał ten subtelny plan. Nazajutrz rano, tak dalece przejęty swym pomysłem, że nie miał nawet czasu myśleć o Auguście, pobiegł do Leonarda Martina.

Przyjaciel przyjął go w pośpiechu, gdyż wybierał się na giełdę. Początkowo uważał, że plan Gerarda jest szalony i ekscentryczny. Gerard tłumaczył jednak, że wszystko potrwa tylko kilka godzin. Leonard przyznał, że w tych warunkach można by to przeprowadzić.

- Lecz - zauważył - Wilson będzie wprawdzie w Paryżu tylko bardzo krótko przed wyjazdem do Baku, wróci jednak za trzy miesiące i niewątpliwie zatrzyma się dłużej. Co zrobisz wówczas?

- Pomyślałem i o tym. Po powrocie wuja powiem mu, że przeprowadzam rozwód...

- Masz na wszystko odpowiedź. Nie zdołasz jednak wmówić sir Edgarowi, że twoja żona bawi w podróży. Przed niespełna rokiem pewien londyński urzędnik urządził mu mniej więcej taki sam kawał, podając się za żonatego celem otrzymania gratyfikacji. Jeśli więc nie zobaczy twej żony na

własne oczy, nie uwierzy ci wcale, a przynajmniej zasięgnie informacji... Więc kogo mu przedstawiś?

- Nikogo... Z braku aktorki cały scenariusz na nic... Rezygnuję, gdyż to się staje zbyt trudne.

- A twoja Augusta? Czy nie mogłaby się poświęcić?

- Nie wspominaj mi o niej - powiedział zasepiony Pasquier. - Dajmy spokój z oszustwami. Mam dość tego wszystkiego. Nie znam nikogo, kto mógłby mi pomóc, a poza tym co mi zależy na tym, czy zerwę z Wilsonem, a nawet czy wyjadę do Afryki? Nie mam ochoty żyć!

Rozdział 3

Maszynistki w banku „Comtes Reunis” oczekiwały, by im przyniesiono podpisaną dzienną korespondencję, którą miały włożyć do kopert. Przebywały wszystkie w dużej sali i gwarzyły, układając listy z poprzedniego dnia. Chipette Moret, pisząc cyrkularz na maszynie, mówiła bez przerwy. Była najweselsza ze wszystkich pracownic i rozweselała cały bank dźwięcznym jak dzwonek głosikiem. Ten paryski podłotek o malowniczych, bynajmniej nie akademickich powiedzonkach, stanowił radość koleżanek.

Była nieprawdopodobnie szczupła: trzcina, mająca kształty... Małe rączki i pod złocistobrązowymi lokami rozkoszny pyszczek kotki z olbrzymimi oczyma, długimi rzęsami, które się wywijają bez tuszu, jak to podkreślała... Ledwo dostrzegalny nosek (nie posiadam szlacheckiej chrząstki, biadała Chipette) i usta o barwie poziomki leśnej, o tak pięknym rysunku, że można się było spodziewać, że wypowiadają tylko słowa pełne poezji, czułości i delikatności...

- Gdybym w filmie miała kierować jakąś „landarą” - mówiły te usteczka księżniczki - nie miałabym nigdy pietra, a w filmie dźwiękowym byłabym wspaniała. Piosenka to moja specjalność!

- Podobnie, jak sposób wyrażania się - wtrąciła ironicznie jedna z koleżanek, robiąc aluzję do „powiedzonek” panny Moret.

- Och! Śpiewam tylko dystyngowane piosenki! - odparła Chipette w dobrej wierze, gdyż mieszała pojęcia dystynkcji i moralności, a gdy romans kończył się przyzwoicie małżeństwem, uważała, że jest w najlepszym tonie. - Posłuchajcie teraz - ciągnęła dalej - co chciałabym grać w kinie...

Snęła dalej swe fantazje, którym przysłuchiwano się z uśmiechem i żadna stenotypistka nie zauważyła, że drzwi, łączące ich salę z biurem Pasquiera, były uchylone.

Gerard, pochylony nad aktami, tak się zamyślił, że nie słyszał niemal tego szczebiotu. Mimo to dwukrotnie już zamierzał wstać, by zamknąć drzwi lub polecić, aby je zamknięto.

Nie zważając na pocztę, którą miał podpisać, wpatrywał się w fotografię Augusty, po czym chwycił ją nagle z wściekłością i rzucił do szuflady biurka.

- Brawo! - powiedział cicho jakiś głos poza jego plecami.

Pasquier odwrócił się szybko i ujrzał Leonarda Martina. Martin zamierzał coś dodać, gdy w sali stenotypistek rozległy się śmiechy. Dźwięczny głos Chipette zapowiadał: .

- Tak, udam się do Eagle Studio i wstąpię do szkoły filmowej. Potrafię grać rolę księżnej w płaszczu noszonym na dworach, długim jak aleja lub sportsmenki wskakującej do samolotu...

- Zamknij te drzwi! - powiedział do Leonarda zdenerwowany Gerard.

Leonard skierował się ku drzwiom, lecz zanim je przymknął, spojrzął na grupę stenotypistek i przypatrzył się Chipette, która stała, szczupła i zgrabna, z rozpaloną twarzą...

Leonard zamknął drzwi, a następnie zwracając się ku przyjacielowi, zapytał porywczo:

- Któż to jest, ta mała?

- Stenotypistka, marząca o filmie.

- Doskonale, mój kochany! - Leonard poklepał Gerarda po ramieniu. - Mamy więc twoją „żonę na jeden wieczór”, jeśli nie porzuciłeś jeszcze swego szalonego planu.

- Jak to: stenotypistka?

- Cóż to szkodzi, jeśli ma to być na parę godzin? Najważniejsze, by potrafiła odegrać swą rolę. Otóż, jeżeli, jak

mówisz, „marzy o kinie”, to zapewne potrafi się maskować. Możesz ją wyuczyć, okupić jej milczenie i wziąć jutro wieczorem na obiad. Nie będzie się od niej wymagać niczego więcej, poza tym by przyzwocić jadła i jak najmniej się odzywała. Przyznasz, że to łatwa rola.

Gerard podniósł głowę.

- Dalibóg, nie jest to takie niemożliwe. I przyznam ci się, że bawiłoby mnie to, gdybym mógł wyprowadzić w pole mego starego, niesprawiedliwego wuja, który mnie wyprowadza w pole od szeregu lat. To konieczne. Stawiam wszystko na jedną kartę. Jeśli się to wyda, tym gorzej! Będę miał doskonały powód do zerwania z nim. Zaryzykuję!

- Wolę, gdy odważasz się bodaj na wszystko, niż gdy jesteś w usposobieniu fatalisty, w jakim byłeś niedawno - rzekł Leonard. - Proszę cię tylko o jedno, Gerardzie, byś w razie wydania się podstępnie nie powiedział sir Edgarowi, że byłem wtajemniczony.

- Nie. Udam, że oszukałem cię tak samo jak jego. Jedno mi się tylko w tym wszystkim nie podoba, a mianowicie, że muszę się zwrócić do panny Moret.

Czy miał jednak wybór? Wszak to potrwa zaledwie jeden wieczór.

Pozostawało mu tylko pouczyć Chipette, o ile ona się na jego propozycję zgodzi. Oddawszy pocztę naczelniej stenotypistce, zawezwał pannę Moret. Niebawem zjawiła się.

- Czego pan sobie życzy? - spytała nieco filuternie.

- Przed chwilą słyszałem, jak pani rozprawiała z takim zapalem - odparł poważnie. - Pani nie jest tu w tym celu, by mnie wtajemniczać w swe plany kinematograficzne...

Zaczął od nagany, by dodać sobie powagi. Istotnie, zdziwiona Chipette zastanawiała się, co jej pseudozwierzchnik ma na celu. Straciła pewność siebie i oblała się rumieńcem. Gerard nabrał autorytetu.

- Zatem pani ma taką szaloną ochotę występować na filmie. Czy jednak rodzice pani zgodzą się?

- Rodzice? Ojciec zmarł przeszło dziesięć lat temu, a matka...

- Czym zajmuje się pani matka?

- Wynajmuje krzesła w parku.

- A gdzie pani mieszka?

- Przy ulicy Francs - Boiirgeois 17.

Gerard, słuchając słów maszynistki, wyobrażał sobie skromne życie obu kobiet w dusznym mieszkaniu w Czwartej Dzielnicy, w którym jest jeszcze tyle nędznych mieszkań.

- I nie ma pani żadnego wielbiciela? Narzeczonego? Konkurenta?

- Ja? Matka by mi dała!

- Ach! Matka by pani dała - powtórzył Gerard jak echo, nieprzyjemnie zaskoczony sposobem jej wyrażania się.

Chipette milczała, zmieszana. Gerard ciągnął dalej:

- Krótko mówiąc, chciałem zapytać, czy zgodziłaby się pani odegrać krótką komedię towarzyską?

- Oczywiście. Musiałoby to jednak być coś przyzwoitego, gdyż mama będzie chciała zobaczyć...

- Och! Chodzi tylko o to, by pani zjadła jutro wieczorem obiad z sir Edgarem Wilsonem.

- Naczelnym dyrektorem? - zawołała Chipette. - Będę miała tremę.

- Jak to, więc chciałaby pani grywać role wielkich księżnych, a boi się pani pójść na obiad z sir Edgarem i ze mną?

Panna Moret zastanawiała się, potrząsając lokami i marszcząc zabawnie nosek, jak kotka.

- Jeśli pan będzie na tym obiedzie, to jakoś raźniej - rzekła. - Zresztą zgadzam się, nie jestem znowu taka lękliwa! I to ma być cała komedia?

- Niezupełnie. Z przyczyn osobistych, których nie mogę pani zdradzić i które by panią nie interesowały, trzeba, by pani przez te parę godzin uchodziła za mężatkę.

- Och, to łatwe! Będę mówiła cały czas o moim „mężu”.

- Czyli o mnie.

- Och! Mam być pana żoną?

Popatrzyła nań ze zdziwieniem, a potem nagle zapytała:

- Cóż mam w takim razie robić?

- Mój Boże, nic wielkiego. Po pierwsze nie będziemy nawet siedzieć obok siebie przy stole.

- To prawda, małżeństwa zawsze się rozdziela. Zapewne przez uprzejmość, by przynajmniej raz nie miały sposobności się kłócić.

- Ładne pani ma wyobrażenie o małżeństwie!

- Dlatego też nie mam ochoty wyjść za mąż. To będzie zabawne. Mam jednak starego wujaszka, który też nosi imię takie, jak pan. Będę o nim myślała, zwracając się do pana.

- Dziękuję bardzo za porównanie. Musimy jednak omówić wszystko dokładnie. Trzeba też, by pani, dla lepszego efektu, mówiła o swych rodzicach. O ojcu, który byłby...

Chipette, puściwszy wodze fantazji, dokończyła:

- ... ambasadorem, chce pan? To byłoby wspaniale!

- Przesadza pani. Powiedzmy adwokatem paryskim. A gdyby mój wujaszek chciał się z nim zobaczyć, powie pani... że bawi chwilowo w... Bordeaux, gdzie broni jakiegoś klienta... Zapamięta pani?

- Świetnie. A moja matka? Będzie może adwokatką?

- Żona adwokata nie musi być koniecznie...

- Tak, niemądra jestem. Mama nic nie robi, jak wszyscy bogacze.

- Może pani powiedzieć, że wspiera ubogich.

- To nawet prawda.

- Zatem pani się zgadza?

- Owszem.

- Pójdzie pani jutro wieczorem na obiad z sir Edgarem, ze mną i moim przyjacielem, panem Martinem, który był u mnie w biurze przed chwilą. I będzie pani jak najmniej mówiła.

Może to były za wielkie wymagania dla Chipette...

- A propos, jeśli będzie mowa o naszym ślubie... - wtrąciła młoda dziewczyna.

- Och, tak, wuj zapewne będzie wypytywał o szczegóły tej uroczystości. Zatem odbyło się to w kościele Świętej Klotyldy.

- I otrzymaliśmy błogosławieństwo od papieża. To będzie bajeczne! Czytałam o tym w powieści: Duch księżnej.

- Otrzyma pani za odegranie tej drobnej roli tysiąc franków, lecz pod warunkiem, że nie piśnie pani na ten temat słówka w biurze.

- Potrafię milczeć, proszę pana - rzekła z wielką godnością Chipette. Gerard połączył się telefonicznie z Martinem.

- Przyszła mi właśnie na myśl kwestia sukni. Czeka. Panno Chipette, czy ma pani wieczorową suknię?

- Ja? Ależ po co? Nie wychodzę wieczorami, chyba że wyprowadzam mego pieska Fida.

- komplikacja, kochany Leonardzie. Panna Moret nie ma co na siebie włożyć!

- Jeśli jesteś zdecydowany na to szaleństwo, Gerardzie, to tym się nie martw. Moja żona ma mniej więcej taką samą figurę. Poślij pannę Moret do mego mieszkania przy ulicy Kleber, a moja żona ją ubierze i pouczy.

- To się przyda. Może jednak na ten jeden raz z boską pomocą...

- Ponieważ Wilson będzie cię chciał jak najprędzej zobaczyć, radzę ci pójść doń jutro wprost do hotelu. Opowiesz

mu o swym małżeństwie, a potem ja nadejdę z żoną i panną: Moret.

- Chciałabym jednak wiedzieć - mówiła w zamyśleniu Chipette - dlaczego pan pragnie, bym odegrała rolę pana żony.

- Czy pani nie wie - odparł poważnie Gerard - że aktorka, grająca w filmie, wykonuje ślepo polecenia reżysera? Jestem niejako reżyserem...

- A ja będę jutro wieczorem ślepo posłuszna.

- Proszę być przede wszystkim osobą skromną.

- Dobrze, dobrze...

Rozdział 4

Podobnie jak bank Wilsona cieszył się światową sławą, tak również sir Edgar Wilson należał do najbardziej popularnych i szanowanych bankierów angielskich. Przez długi czas nazywano go „człowiekiem, który poruszył sumienia poszukiwaczy złota”. W swoim czasie bowiem był jedynym bankierem brazylijskich górników, których wyuczył oszczędności, ocalił przed hulankami i śmiertelnymi bójkami. Majątek zdobył ze skrupulatną uczciwością. Mniej więcej przed dwudziestu laty, kiedy był już potężny i ogromnie bogaty, na swe nieszczęście propagował usilnie pewną emisję akcji, których wartość spadła wkrótce do zera. Największe straty poniosła biedna ludność angielska, ponieważ to ona właśnie umieściła swe drobne oszczędności w tych akcjach. Wówczas Wilson, ów „wielki Wilson”, jak go nazywano, pokrył w zupełności z własnych funduszy stratę wysokości osiemdziesięciu milionów, które mu powierzono, a które przepadły w aferze budowy kanału. Bankier stracił nie tylko cały majątek, lecz musiał się jeszcze zapożyczyć. Ten gest mógł go pograżyć na zawsze. A jednak stał się zaczątkiem jego olbrzymiego majątku.

Wilson wzbudził swym gestem entuzjazm klientów i nie upłynęły dwa tygodnie, odkąd zwrócił ludziom powierzone kwoty, a już klienci złożyli u niego owe osiemdziesiąt milionów, a nawet więcej. Uczciwy bankier posiadał niebawem w swych kasach pół miliarda. Wilson umieścił pieniądze, oczywiście, w pewnych interesach i odtąd nigdy nie polecał klientom żadnej lokaty spekulacyjnej.

Król nagrodił uczciwość bankiera nadaniem mu godności baroneta.

Wielka arystokracja, mimo całej swej pychy, przyjęła gorąco nowego baroneta do swego grona. Wrodzona dystynkcja sir Edgara, jego erudycja i takt pozwoliły mu się

od razu zasymilować z najprawdziwszymi lordami. Ten pięćdziesięcioletni, wysoki, szczupły mężczyzna, zarazem uprzejmy i dumny, był prawdziwym szlachcicem. Unikał przepychu, zdradzającego dorobkiewiczostwo i postępował zawsze wzniośle. Przyjeżdżając do Paryża, mieszkał w jednym z najwytworniejszych, a jednak spokojnym hotelu Królowej Izabeli, przy ulicy Kleber.

Jest to prawdziwy pałac, zamieszkiwany w ubiegłym stuleciu przez królową Izabelę Hiszpańską, którego dekoracje świadczą o najwyższym stopniu zbytku.

Sir Edgar zajmował apartament frontowy składający się z sypialni z łazienką, salonu, jadalni i przedpokoju. W sąsiednim pomieszczeniu przebywał stale jego sekretarz, pan Lipton, który nie opuszczał go nigdy i stał się jego cieniem tak, iż w końcu upodobił się doń, jak model w mniejszej skali.

Tego wieczoru Wilson chodził tam i z powrotem po pokoju, podczas gdy dwaj służący rozpakowywali jego walizy, a pan Lipton siedział przy biurku i przeglądał akta.

- .Niebawem zobaczę się z moim siostrzeńcem...

- I oznajmi mu pan o wysłaniu go do Uga - Bandy - rzekł dziwnym tonem Lipton.

Wilson zmarszczył brwi. W gruncie rzeczy ta nominacja była dlań nieco przykra. Sir Edgar miał dobre serce, lecz mówił sobie, że Gerard powinien się zetknąć z prawdziwym życiem.

- To konieczne - tłumaczył wymownie Wilson, jakby chciał przekonać samego siebie. - Co się tyczy niebezpieczeństwa, nie sędzę, by było tam gorzej, niż w San Rosario. Na pewno jest nawet lepiej, a że moi dyrektorowie wszyscy zmarli, to dlatego, że byli głupi, nie zażywali dość chininy i polowali w niezdrowych dżunglach. Pomówię z

Gerardem, pouczę go i zapewniam pana, że gdy będzie musiał ciągle dbać o własną skórę, przestanie marzyć!

- Zapewne - powiedział lakonicznie Lipton, człowiek - cień. W tejże chwili zapukano i zjawił się Gerard.

- Drogi wuju! - zawołał. - Cieszę się, że cię znowu widzę! Wspaniale wyglądasz!

- Ty również, chłopcze! Dobrze, że przyszedłeś zaraz, bo przed obiadem ułożymy wszystko i pomówimy o twej podwyżce.

Zepsuje mu od razu apetyt - myślał Lipton, który naśladował jednak swego zwierzchnika, przybierając przesadnie dobroduszną minę.

Gerard czuł zbliżającą się burzę, zanim wuj wziął do ręki akta, na których wypisane były wielkimi literami fatalne słowa: Uga - Banda.

- To się doskonale składa, gdyż, jak wiesz, mam obecnie większe wydatki na rodzinę - rzekł. - Wszak otrzymałeś mój list, zawiadamiający o ślubie, który się odbył przed trzema tygodniami?

- Jesteś żonaty?

- Nie wiedziałeś o tym? - zapytał Gerard.

- Nie. Nie przejrzałem jeszcze całej poczty, którą przesiano mi do Londynu. Czy widział pan ten list, Lip?

- Nie! - odparł Lipton, wykreślając instynktownie końcem niebieskiego ołówka nazwisko Gerarda, widniejące pod słowami „Uga - Banda”.

- Doprawdy, wszystko się teraz żeni - powiedział serdecznie bankier. - Harry i James, twoi kuzynowie... Z kim się ożeniłeś?

Gerard był zadowolony, że pomyślał o „ustaleniu” drzewa genealogicznego swej niby - małżonki i odparł śmiało:

- Z córką paryskiego adwokata.

Twarz Wilsona, a równocześnie Liptona rozjaśniła się i ręka asystenta ponownie przekreśliła nazwisko Gerarda.

- Spodziewam się - mówił dalej Wilson - że powiedziałeś swojej żonie, by była dziś wieczorem na obiedzie z tobą i młodymi Martinami, których również zaprosiłem?

- Oczywiście, wuju, pragnie cię powitać i niebawem nadejdzie.

Sir Edgar wydawał się zadowolony. Gerard uświadomił sobie, że onieśmielona młoda panna, której polecił się nie odzywać, będzie się zapewne wydawała wujowi niezgrabna i bez życia. Chciał uprzedzić to ujemne wrażenie.

- Wyda ci się niewątpliwie, wuju, nieśmiała i niezwykle powściągliwa. Jest to wpływ francuskiego wychowania, pełnego skromności i surowości, jakiemu hołdują jeszcze niektóre rodziny...

Chipette właśnie wchodziła.

A raczej wkraczała.

Gerard patrzył na nią, zdumiony i przerażony.

Nie należy sądzić, że dlatego, iż Gerard powiedział panie Moret, by była skromna, ona uważała, że należy się do tego zastosować.

Co prawda, idąc do mieszkania Martinów, nie miała żadnego specjalnego planu. Przygoda wydawała jej się tak zabawna, że dziewczyna zapomniała zupełnie o obiecanych tysiącu franków. Wszak jej życie było takie przeciętne między poczciwą, nabożną matką, a starym, ślepym i kulawym psem Fidem! Niestety, pożycie z takimi istotami bywa często bardzo smutne. Nie nudząc się nigdy, nie odczuwają też potrzeby rozrywek ani zabaw poza domem. A nie odczuwając tej potrzeby, wyobrażają sobie chętnie, że inni są w tym samym położeniu.

Toteż perspektywa odegrania przez jeden wieczór „komedii towarzyskiej” zachwyciła Chipette, jakkolwiek nie wchodziło to w zakres jej zwykłych marzeń.

Kiedy przybyła do Martinów na Aleję Hoche, uczyła się onieśmielona przedsiionkiem i jego nowoczesną symfonią białych i czarnych marmurów, od których odbijały pomarańczowe plamy dużych poduszek. Młoda dziewczyna nie знаła innych bogactw prócz banku Wilsona z dywanami i kanapkami ze skóry.

Ferdynanda Martin, powiadomiona telefonicznie, oczekiwała panny Moret. Ferdynanda miała dziewiętnaście lat i niedawno dopiero wyszła za mąż. Nie była zatem jeszcze w wieku „rozkosznego zrównoważenia”, o którym wspomina moralista Jouffroy. Mąż powiedział jej tylko: „Ubierz pannę Moret, by mogła pójść na obiad do Palace'u” i nie wiedziała, czy obiad odbędzie się prywatnie, czy w wielkiej sali.

Wreszcie uwagi Chipette tak ją ubawiły, że młoda kobieta pragnęła jedynie zadowolić fantazje stenotypistki.

Chipette, ujrawszy wszystkie suknie zawieszane w olbrzymiej szafie, wpadła w ekstazę.

- Można by sądzić, że to sklep! - zawołała, nie wiedząc, że byłoby pochlebniej powiedzieć „słynny salon mód”.

- Więc proszę wybrać sobie suknię, która się pani podoba - powiedziała Ferdynanda.

- Suknia na jeden wieczór - rzekła Chipette, przypominając sobie sztukę pod takim tytułem. Zapragnęła być chociaż raz olśniewająca. Dostrzegłszy równocześnie błyszczącą suknię, ośmieliła się wskazać: - Chciałabym strasznie tę.

Ferdynanda wybuchnęła Śmiechem.

- Doskonały wybór! Byłam w niej na balu Opery i zyskała uznanie Jana Dergue'a, który będzie mnie w tym stroju malował.

- I pani zgodziłaby się mi ją pożyczyć?

- Oczywiście. Moje pokojówki pomogą pani.

Co za rozkosz być ubieraną przez dwie pokojówki, które nie śmiały się, zobaczywszy bieliznę Chipetty z bawełnianego kreponu.

- Och! Te jedwabne pończochy! Mam wrażenie, że wkładam pajęczynę! Pantofelki, zbyt małe dla Ferdynandy, byty doskonale na pannę Moret. Wreszcie Chipette, gotowa, otulona ciemnym, aksamitnym płaszczem, pojechała z Martinami.

A teraz, zrzuciwszy płaszcz w przedpokoju, wchodziła do salonu, w którym znajdował się Wilson i Gerard.

Skromna, nieśmiała, nikła, młoda kobieta, którą zapowiedział Pasquier zbliżała się z czarującym uśmiechem, świecąc niczym meteor.

Na błyszczącej jak śnieg sukni z tiulu, naszycia tworzyły małe kaskady. Dla złagodzenia efektu iskrzenia dodał krawiec długi tren z czarnego tiulu.

Szczytem wszystkiego był olbrzymi wachlarz z białych piór, który jak lawina przysłaniał i odsłaniał suknię i samą Chipette. Sir Edgar, zdziwiony, lecz dostrzegający istotną wytworność toalety, szepnął:

- Twoja żona jest doskonale ubrana, chłopcze! Nie żałujesz pieniędzy!

Gerard był przerażony. Miał żal do Ferdynandy, że nie pokierowała lepiej dziewczyną. Znalazł się jednak przed faktem dokonanym i jeśli nie chciał uchodzić za męża rujnującego się w głupi sposób na stroje żony, nie miał innego wyjścia, jak powiedzieć półgłosem:

- Jest bardzo bogata... miała wielki posag... matka jest bardzo elegancka...

(Och! Po raz pierwszy w życiu nazwano elegancką poczciwą panią Moret, która w ubogim mieszkanku,

ogrzewanym koksem, odmawiała różaniec siedząc z psem na kolanach).

- ...wujaszku - mówiła Chipette, która upojona otaczającym bogactwem, podniecona przygodą, nie spieszyła się zupełnie obecnością naczelnego dyrektora - przyszedł cię powitać...

- Raz przynajmniej - szepnął sir Edgar do ucha Martinowi - ten poczciwy chłopak zrobił coś mądrego...

- Ucałuj więc starego wujaszka, piękna siostrzenico!

- Z rozkoszą! - krzyknęła Chipette.

Zbliżyła się swobodnie, mimo wlokącego się za nią obłoku czarnego tiulu, a Wilson, dotknąwszy ustami pachnącego, młodego czoła, rzekł:

- Ładną masz suknię, moje dziecko. Chipette odparła niedbale:

- Mówił mi to również Jan Dergue na balu Opery. Będzie mnie zresztą malował w tym stroju.

- Znakomicie! - powiedział sir Edgar, który wydawał się uszczęśliwiony, że jego siostrzeniec tak się dobrze ożenił.

Po czym nagle, ujrawszy leżące przed Liptonem akta „Uga - Bandy”, zawołał:

- Proszę to zabrać, Lip. Czy sądzi pan rzeczywiście, że będziemy mówić o interesach w towarzystwie tak pięknych kobiet? Pani też prześlicznie dziś wygląda, kochana Ferdynando!

Gerard patrzył z radością na znikające groźne akta i zrozumiał, że sprawa już załatwiona. Nie pojedzie do Afryki. Chipette była już tym samym niepotrzebna. Mogła nawet zepsuć wszystko swymi dzikimi pomysłami, nic więc dziwnego, że Gerard siedział jak na szpilkach. Nie mógł jednak jak czarodziej sprawić, by zniknęła.

- Umierałam z ciekawości. Tak bardzo chciałam cię poznać, wujaszku - mówiła Chipette, patrząc przymilnie bez

żadnych ukrytych myśli (odgrywam teraz wielką scenę uwodzicielską, wmawiała sobie). - Tyle słyszałam o tobie, jesteś taki sławny! Gerard wyraża się o tobie, jak o Bogu! Wiem zresztą, że ma słuszość.

- Mój siostrzeniec jest zawsze pełnym przesady, „przeklętym” poetą - odparł sir Edgar.

Śmiał się jednak, gdyż pochlebiało mu to w duszy.

- Jak się nazywasz, moje dziecko?

- Jocelyne.

- Ach! Cóż za imię starej Francji! Twój ojciec jest słynnym adwokatem, nieprawdaż? Chciałbym bardzo go poznać.

- Papa też by się ogromnie cieszył, lecz jest obecnie w Bordeaux.

- Broni kogoś?

- Owszem, pojechał w sprawie jakiejś kobiety bez głowy, której ciała nie można odnaleźć.

- Och! Och! Ani głowy, ani ciała, cóż więc pozostaje na rzeczowy dowód? Zmieszła się. Gerard patrzył na nią straszonym wzrokiem, a Martinowie śmiali się do rozpuku.

- Pozostaje - odparła wreszcie - chusteczka do nosa.

Po czym, chcąc zmienić temat rozmowy, rozejrzała się i oświadczyła naiwnie:

- Jak tu strasznie konsekwentnie!

- Konsekwentnie? Co konsekwentnie? - spytał zdziwiony sir Edgar. Było to specjalne wyrażenie Chipette, które Gerard postarał się wyjaśnić.

- Chciała powiedzieć stylowo...

- Jaki ten język francuski cudowny, a jednak jaki trudny! - mówił sir Edgar, przechodząc do jadalni. - Nawet jeśli się go dobrze zna, pozostają zawsze pewne subtelności, które trudno zauważyć!

Pasquier odetchnął. Wuj niczego nie zauważył i wszystko było w porządku.

- I mówisz po angielsku? - zapytał bankier. Chipette uczyła się w szkole Berlitz.

- Miałam nianię, a potem angielską wychowawczynię - odparła.

Po zupie podawano wino Chablis. Chipette wychyliła kielich, przechylając się na krześle i oświadczyła z zadowoleniem, tonem znawczyni:

- Doskonale!

Równocześnie dostała silnego kopniaka pod stołem. Oburzona, spojrzała w odnośnym kierunku. Był to Gerard, który przyłożył palec do ust i rozpaczliwie nakazywał jej milczenie.

Biedactwo straciło rezon, zaczerwieniło się i spuściło nos na kwintę. Na szczęście Wilson był zajęty prowadzoną z Martinem rozmową o polityce.

Uroczysty lokaj podał ponownie Chipette potrawkę ze słomek.

- Nie, dziękuję panu - odrzekła. - Pan jest doprawdy zbyt uprzejmy!

Tym razem sir Edgar, pochodzący z kraju, w którym trzyma się służbę na jeszcze większy dystans, aniżeli we Francji, był istotnie zdumiony. Pochylając się nad Gerardem, rzekł wreszcie po angielsku:

- Tymi słowami twoja żona zdradziła mi swą całą przeszłość.

Sensacja. Gerard zgłupiał. Martinowie milczeli.

Sir Edgar zaczął się śmiać, wyjaśniając po angielsku:

- Wspomniałeś, że Jocelyne pochodzi ze starej pruderyjnej i sztywnej rodziny. Stąd u tej młodej kobiety, która wydostała się jakby z klatki, ta potrzeba emancypacji i elegancji. Założyłbym się, że ta piękna suknia jest

zadośćuczynieniem dla Chipette za szereg zbyt skromnych sukien.

- Och! Wujaszek odgaduje wszystko - rzekła z przekonaniem dziewczyna. - Pewnego razu, gdy arcyksiążę Józef był na obiedzie u mego ojca...

- Arcyksiążę Józef?

Przesadzała, podniecona szampanem. Gerard przerwał pośpiesznie:

- To jeden z naszych znajomych, którego ze względu na podobieństwo nazywamy żartem arcyksięciem.

- Zapewne zawsze się dobrze bawicie - rzekł sir Edgar. - Tworzycie śliczną parę, ona jest taka miłutka...

- Och, tak... - odparł Gerard, zagryzając wargi, gdyż w tejże chwili Chipette, ożywiona chęcią zemsty, zapominając, że właściwie jest on niemal jej przełożonym, kopnęła go pod stołem w nogę.

- Czy uprawiasz jakieś sporty, Jocelyne?

Jocelyne, która zamiast sportów wyprowadzała jedynie Fida, przypomniała sobie Szwajcarię i odrzekła bez zająknięcia:

- Owszem, zwłaszcza alpinizm. Jungfrau nie ma dla mnie już żadnych tajemnic,

- Przesadzasz chyba, malutka. Świadczy to jednak tym, że jesteś dobrą turystką. A gdzie mieszkasz?

- Wszak wiesz, wuju, jak obecnie trudno w Paryżu o mieszkanie - odparł szybko Gerard. - Nie znaleźliśmy jeszcze nic odpowiedniego i mieszkamy na razie w mojej kawalerce.

- Mamy jednak na widoku obszerne mieszkanie przy placu Alma - oznajmiła dumnie Chipette.

Wniesiono w czarkach płukanki z pływającymi kawałkami cytryny.

- Nie, dziękuję, nie mam już pragnienia - powiedziała Chipette do maitre d'hotel.

Na szczęście nie dosłyszano jej słów. I równocześnie młoda dziewczyna przypomniała sobie, do czego służą płukanki. Wzięła więc czarękę i pierwsza zanurzyła w niej palce i taką swobodą, jakby z dawien dawna była do tego przyzwyczajona...

- Jestem pewny, Jocelyne, że jesteś doskonałą pianistką - stwierdził sir Edward, wróciwszy do salonu.

- Owszem, grywam.

Było to kłamstwo. Lecz, o zgrozo! Anglik ujrzał w rogu salonu fortepian.

- Zagraj mi coś, kochanie - poprosił. Teraz Chipette zadrżała ze strachu.

- Nie mogę, wuju, gdyż obecnie... odprawiam nowennę.

- Cóż to jest? - zapytał sir Edgar, który był protestantem.

- Szereg dni przeznaczonych na modlitwę, podczas których wstrzymuję się od muzyki.

- Jak my w niedziele - rzekł sir Edgar, przypominając sobie, że w Anglii nie grywa się wówczas na fortepianie. - Jesteś pobożna, moje dziecko.

Chipette nie kłamała, odpowiadając łagodnie:

- Owszem, wujaszku. Moja matka bywa codziennie w kościele.

- Widzę, że twoja matka jest szlachetną kobietą, która cię doskonale wychowała. Podoba mi się, jeśli młode kobiety są pobożne. I cieszę się - dodał nieco żartobliwie - że ta twoja nowenna nie przeszkodziła ci włożyć tej pięknej sukni.

Gerard uważał, że dalsza obecność Chipette jest zbyt duża. Dopiął już swego celu. Pragnął zakończyć ten niebezpieczny wieczór.

- Pozwolisz, że się pożegnamy, kochany wuju. Jocelyne jest bardzo delikatna i nie powinna późno udawać się na spoczynek - wtrącił jako dobry mąż..

- Zatem przyjdźcie jeszcze do mnie jutro na śniadanie - poprosił sir Edgar. - Co prawda będę miał dla was tylko pół godziny czasu...

- Niestety, Jocelyne jedzie do rodziców do Bordeaux... wyjeżdża jutro o ósmej rano...

- Jeśli tak, to nie chcę ci przeszkadzać, moje dziecko, zwłaszcza, iż nie mógłbym ci poświęcić wiele czasu... Do widzenia, kochana siostrzenico. Zobaczymy się, gdy przyjadę znowu do Paryża... za dwa miesiące.

- My też wychodzimy - powiedzieli Martinowie.

Chipette uściskała wuja. Z żalem myślała, że ten rozkoszny wieczór już się nigdy nie powtórzy i sir Edgar, ów flegmatyczny Anglik, był niezwykle wzruszony, spostrzegłszy łzy w oczach młodej kobiety.

- Przykro mi się z tobą rozstawać - rzekła dla usprawiedliwienia swego wzruszenia. I wyszła.

Przed bramą hotelu Gerard postanowił wrócić pieszo do domu, podczas gdy Martinowie zawieźli Chipette samochodem na ulicę Hoche, by włożyła z powrotem skromną sukienkę stenotypistki, po czym mieli odwieźć ją do domu.

A gdy Chipette szła po ciemnych, spróchniałych schodach do swego mieszkania, ogarnął ją żal. Z rozpaczą myślała, że była, niestety, tylko żoną na jeden wieczór...

Rozdział 5

Nazajutrz rano bank „Comtes Reunis” przy ulicy Pillet - Will przypominał okręt wojenny wizytowany przez admirała. Nie było jeszcze dziewiątej, a już wszyscy pracownicy byli na posterunku. Gerard przeglądał ponownie w swym biurze pewne dokumenty. Róża, roztaczająca jeszcze onegdaj śmiało swój czar na biurku młodzieńca, zniknęła. Na jej miejscu stał najbardziej nowoczesny notatnik terminowy. W poważnym pokoju nie było żadnych śladów umiłowań literackich, artystycznych czy miłosnych; tylko cyfry i ceduły giełdowe.

Oczekiwano sir Edgara, człowieka obcującego z władzami jak równymi sobie, od którego zależało, czy pracownicy otrzymają podwyżkę, czy czterdziestu z nich zostanie zwolnionych z oddziału „A” przy ulicy Pillet - Will.

Nagle Gerard nadstawił uszu. W biurze stenotypistek rozmawiano. Wesoly, niezwykle młody głos był głosem Chipette.

Co się stało? Wszak powiedział jej wyraźnie, by nie pokazywała się przez tydzień w biurze, dopóki naczelny dyrektor, nie wyjedzie. Było bowiem nie do pomyślenia, by Wilson rozpoznał w jednej ze swych urzędniczek onegdajszą siostrzenicę. Czego ona właściwie chciała? Wszak wczoraj wręczył jej po wyjściu z hotelu kopertę zawierającą obiecane tysiąc franków.

Gerard pobiegł do biura stenotypistek.

Chipette była tam istotnie i to w eleganckiej jak na nią toalecie, a mianowicie w ładnym, skromnym kostiumie, który - jak mówiła - nie mógł nikogo olśnić swą wspaniałością. W kapeluszu i rękawiczkach szukała czegoś w szufladzie swego biurka, opowiadając koleżankom, że „wybiera się do Wersalu, lepić w parku kule ze śniegu”.

- Już idę, już idę, panie Gerardzie! Wstąpiłam tylko po pierścionek, pozostawiony przez zapomnienie w szufladzie - zawołała na widok Gerarda.

Pokazała mu ten pierścionek, który nie wart był piętnastu franków. Była to imitacja złota z imitacją imitacji perły...

- Proszę się pośpieszyć - rzekł gorączkowo Gerard. I ze względu na inne stenotypistki, dodał:

- Gdyby mój wuj panią zobaczył, musiałyby pani zrezygnować z urlopu, jaki pani udzieliłem.

- Tak, dziękuję panu. Wyjdę schodami dla posłańców. W ten sposób nie będzie żadnego niebezpieczeństwa!

Byłoby tak może ze zwyczajnym zwierzchnikiem. Wilson był jednak człowiekiem nagłych postanowień, który zjawiał się niespodziewanie, zaglądał do wszystkich kątów i otwierał najlepsze skrytki.

Chipette nie zeszła jeszcze z trzech pozbawionych dywanu stopni, gdy spotkała się nos w nos z sir Edgarem.

Chwycił ją w ramiona.

- Ależ to moja siostrzenica! Wiec spóźniłaś się rzeczywiście na pociąg do Bordeaux? Czerwona, drżąca Chipette straciła głowę.

- Nie... tak... ale go dogonię.

- Och! Och! Czyż można nadażyć za pośpiesznym pociągiem, spóźniwszy się o dwie godziny? Wydaje mi się to trochę trudne. Okazuje się, malutka, że za długo zatrzymałem cię wczoraj wieczorem. Nie mogłaś się na czas zbudzić. Powiedz mi jednak, czy twój ojciec jest chory?

- Nie - odparła zdziwiona Chipette.

- A czcigodna matka też nie?

- Ależ dlaczego?

- Zatem nie jesteś im potrzebna przez jedną dobę. Wróć ze mną do banku. Wyślesz rodzicom telegram tej treści:

„Stary wuj Wilson bawi chwilowo w Paryżu. Pozostaję do jego wyjazdu". Zgadzasz się, prawda?

Co powiedzieć, co począć? Nie wiedziała właściwie, dlaczego Gerard chciał uchodzić w oczach wuja za żonatego, lecz domyślała się, że czynił to dla uniknięcia jakiegoś niebezpieczeństwa, a może miał jakieś trudności rodzinne. Jakkolwiek Chipette podziwiała wyłącznie dumnego Jacka, a marzyciela Gerarda uważała za mniej „interesującego", była szczerze zrozpaczona, że tak źle się przysłużyła sprawom młodego człowieka, który ją ze swej strony tak hojnie wynagrodził.

Pracownicy, widząc ją wracającą z sir Edgarem, myśleli złośliwie lub z ciekawością: złapał ją. A Chipette mówiła sobie: co sobie pomyślą, jeśli nazwie mnie w ich obecności siostrzenicą?

Po ogólnym przywitaniu, sir Edgar zwrócił się do panny Moret:

- Ułożymy ten telegram w biurze Gerarda.

Nie pozostało jej nic innego, jak zaprowadzić go tam. Nie zastali jednak Gerarda, który wyszedł do sąsiedniego pokoju.

- To nie jest odpowiednie biuro dla twego męża - powiedział sir Edgar. - Ależ to nora dla szczurów!

- Masz słuszość, wuju - rzekła Chipette, gdy tylko drzwi się zamknęły. - Tu jest okropnie!

Pod dyktando Wilsona napisała telegram, który przesłano przez chłopca. Podała jakiś zmyślony adres w Bordeaux.

- U Gerarda powinno być inaczej urządzone - powtarzał Wilson, nabrawszy przekonania o ważności siostrzeńca.

Wówczas automatycznie w umyśle Chipette coś się rozjaśniło. W jednej sekundzie weszła w swą rolę. Kogóż ona właściwie miała uosabiać? Żonę Gerarda. Zrozumiała, że zadaniem jej jako małżonki było obowiązkowo, koniecznie

bronić męża, ująć w swe ręce jego sprawy, przedstawić go w jak najlepszym świetle..

- Gerard cierpi bardzo nad tym, że pracuje w takim biurze - rzekła więc. - Mimo to potrafił zdobyć sobie tutaj taki sam szacunek, jak pan Jack, który posiada wspaniałe apartamenty... Gerard nie ma dostatecznej władzy...

- Rozumiem. Prowadzi wspólnie z Evansem dział papierów wartościowych?

- Tak. Otóż wspominał niejednokrotnie, że mógłby doskonale prowadzić sam ten dział, z którym jest świetnie obeznany.

- Jestem tego samego zdania. Tak też się stanie. Przeniosę Evansa do Neuilly, co będzie awansem i wszyscy będą zadowoleni. Poza tym od dziś Gerard otrzyma podwójną pensję oraz procent od interesów. Obecnie ma wydatki. Żonaty mężczyzna powinien przyzwoicie utrzymywać żonę, by nie zbywało jej na niczym i miała to wszystko, do czego przywykła jako panna. Nieprawdaż, Jocelyne?

- Zapewne, wujaszku. Życie jest nieraz ciężkie.

- Widzę po twym dzisiejszym kostiumiku, że potrafisz być skromna. Czy nie masz futra na mrozy?

Chipette zastanawiała się, czy należało odpowiedzieć: „moje nurki są u kuśnierza”, czy udawać skromną.

- Niezadługo Gerard kupi mi coś ładnego...

- Gratyfikacja, którą mu dam, umożliwi mu to... Ach, jesteś kochany siostrzeńcze! Jak widzisz, twoja żona spóźniła się na pociąg i zatrzymałem ją w Paryżu do mego wyjazdu... to znaczy do jutra rana. A propos, będziesz odtąd sam prowadził dział papierów wartościowych, otrzymasz biuro Evansa, który zostanie przeniesiony do Neuilly, i podwójną pensję oraz procent od zawartych przez ciebie interesów.

Gerard, który ujrawszy Chipette, myślał, że wszystko stracone, przeszedł z wielkiego strachu w niezwykłą radość i wyjąkał kilka niezrozumiałych słów.

- Już dobrze - rzekł sir Edgar. - Ucałuj swoją żoneczkę, która bardzo zręcznie i gorąco wstawiała się za tobą. Ach! Widać, że to córeczka adwokata.

- Z rozkoszą - zgodził się szczerze młody człowiek.

- A teraz mam myśl - rzekł Wilson. - Poświęcę wam jeszcze kwadrans, a potem zajmę się interesami aż do śniadania, które zjemy razem. Gerardzie, nie możesz mieszkać dłużej w kawalerskim mieszkaniu, które na pewno jest zbyt szczupłe i niezdrowe.

- Szukamy właśnie...

- Nie szukajcie. Już znalazłem. Wszak zajmujemy cały budynek, nieprawdaż? Zdaje mi się, że dyrektor opuścił już apartament na piątym piętrze?

- Tak. Wolał zamieszkać na przedmieściu.

- Zapewne dlatego, że ma dzieci, lecz dla takiego młodego małżeństwa jak wy to mieszkanie wystarczy. Chodźmy je obejrzyć.

Wyszli z pokoiku Gerarda i personel, ogromnie zdziwiony, ujrzał jak Wilson wyszedł z siostrzeńcem i stenotypistką na główne schody. Wsiedli do windy i pojechali na piąte piętro.

- Będzie wam tu bardzo miło, Gerardzie. Ach! Jesteś, Lip, znalazłeś mnie jednak? - powitał sir Edgar sekretarza, który przybiegł, zadyszany.

- Pan zawsze wychodzi z domu tak szybko i cicho jak duch!

- Dobrze. Proszę zanotować, że to mieszkanie będzie odtąd przeznaczone dla mego siostrzeńca Gerarda. Będiesz tu miała na pewno więcej powietrza niż tam, gdzie dotąd mieszkałaś, Chipette.

Przytaknęła, przypominając sobie ulicę Francs - Bourgeois z widokiem na trędownate dachy z okienkami zdradzającymi brudne wnętrza, z podartą bielizną suszącą się na sznurach, nędznym ogródkiem, który groził spadnięciem na podwórze... Straciła zainteresowanie dla mieszkania, które nigdy nie będzie dla niej, podczas gdy Gerard się cieszył, spodziewając się, że nawet bez żony mieszkania mu nie odbiorą.

- Jakoś nie wydajesz się zadowolona, moja kochana?

- Owszem, owszem. To z radości tak zaniemówiłam. Jesteś za dobry, wujaszku. Już wystarczy!

- A teraz, moje dzieci, do roboty! Dość się wami zajmowałem. Pomyśl o przewodźce, siostrzeniczko. Spotkamy się na śniadaniu u Ritza.

Chipette wyszła z banku, podczas gdy sir Edgar, Gerard i Lip wrócili do biur.

Żeby tylko Chipette nie zmieniła skromnej sukienki - myślał z przerażeniem Gerard.

Nie przebrała się, gdyż nie miała nic lepszego, a nie śmiała pójść prosić pani Martin. Wilson, Gerard i Lip zastali ją w hallu Ritza, wytrzeszczając oczy na nieznaną jej zbytek.

Podczas posiłku wręczono sir Edgarowi pilną depezę.

Przeczytał ją i zmarszczył brwi. Prezes rady, który zapadł na gripę, prosił go o odłożenie konferencji na kilka dni...

- Ależ ja wyjeżdżam jutro na trzy miesiące! - zawołał Wilson. - Chyba, żebym zmienił wszystkie projekty. Otóż - zdecydował bankier, zwracając się do Chipette - raz urządzę sobie wakacje! Pozostanę w Paryżu, przestanę zajmować się interesami, by poświęcić czas tobie, piękna siostrzenico. Tak, tak. Właściwie nie znam prawie stolicy. Otóż ty, jako paryżanka, pokażesz mi jej cuda. Przyda mi się trochę wypoczynku. Poświęcam wam dwa dni.

Gerard i Chipette spojrzeli na siebie z rozpaczą. On myślał: „Jestem zgubiony”, ona: „Bomba pęknie”.

- Ach! Kochany wujaszku, jacy jesteśmy szczęśliwi! - zawołali równocześnie z udanym zapalem.

- Gdybyś była widziała minę pana Gerarda, gdy wuj oznajmił mu, że poświęca nam całe dwa dni - opowiadała matce Chipette. - Można było umrzeć ze śmiechu! Nie wiem właściwie, dlaczego zastępca szefa każe mi odgrywać tę komedię, ale na pewno trwa ona dlań za długo. Obawia się, by się wszystko nie wydało. Ledwo żyje. Co prawda jak dotąd zyskał wiele dzięki tej farsie.

- Spodziewam się, że w nagrodę otrzymasz jakąś małą podwyżkę?

- Pod tym względem jest bardzo hojny. Już mi to przyrzekł.

- Więc cóż robiłaś dziś po południu?

- Sir Edgar chciał, bym poszła z nim do „mojego krawca”, by zamówić dla jednej z jego siostrzenic taką suknię jak moja wczorajsza. Zadzwoiłam do pani Martin, by się

dowiedzieć, kto szyl suknię i poszłam z wielką godnością do „Józefa i Józefy” przy Champs - Elysees. Nagle zobaczył jednak płaszcz z nurków i chciał mi go kupić na prezent ślubny. Nie miałam odwagi przyjąć i mówiłam: „Muszę, wujaszku, spytać męża”. Bardzo mu się podobała ta uległość. Zmusił mnie, bym przyjęła płaszcz. Dotknij go, mamó, zobacz, jaki lekki, jak piórko.

I Chipette wzięła z żelaznego łóżka piękny płaszcz nurkowy na jedwabnej podszewce.

- Ależ będziesz musiała, biedactwo, to oddać?

- Dam go panu Gerardowi, niech zrobi z nim, co zechce. A potem zaprowadziłam wuja na dancing.

- Na dancing!

- Tak. Do „Lido”. Zmusiłam go, by tańczył. Bardzo to ubawiło tego człowieka interesu. Deptał mi trochę po nogach, ale trudno, nie można wszystkiego od niego wymagać.

Wieczorem powiedział mi, że ma jakiś bankiet i nie może nas zatrzymać na obiedzie. Gerard, wróciwszy z banku, był niezmiernie uradowany. Lecz Wilson wykupił łożę w operze, gdzie mamy się spotkać o dziewiątej.

Podśpiewując, ubierała skromną i uroczą sukienkę z różowego jedwabiu.

- Zadam szyku! - mówiła Chipette, układając złote loki.

- Ach! Lękam się o ciebie, moje dziecko. Zawrócisz sobie jeszcze głowę tym Wilsonem i zapragniesz zbytku.

- Kiedy zobaczysz sir Edgara - odparła poważnie Chipette - zrozumiesz, że nie można o nim marzyć. Nie dlatego, że ma pięćdziesiątkę, lecz jest jakby jakimś królem i w duszy drzę przed nim.

- A więc to będzie pan Gerard. Chipette wzruszyła ramionami.

- On! Bardzo miły chłopak, owszem, ale nie w moim guście.

- Do twarzy ci w tej sukni i płaszczu. Ach, Chipette, to się wszystko źle skończy!

Gdy Gerard przywiózł dziewczynę do teatru, a następnie zaprowadził do łoży, Chipette zdumiona milczała. Wspaniałość i majestat opery przejmowały ją niemym szacunkiem. Wszedłszy do łoży, ujrzeli wytworną parę.

- Zapewne państwo Pasquier? - zapytał mężczyzna.

- Tak, proszę pana.

- Jestem Filip de Pontferrier, a to moja żona. Znamy dobrze sir Edgara, a ponieważ szczęśliwym trafem spotkaliśmy go dziś w Palace, gdzie mieszkamy, zaprosił nas do swej łoży, opowiadając nam o państwu.

Baronowa podała rękę Chipette.

Tego jeszcze brakowało! - myślał zrozpaczony Gerard. - Wilson mógł jeszcze nie zauważyć wybryków dziewczyny, ale ich uwagi nic nie ujdzie.

Na szczęście w operze trudno rozmawiać. Orkiestra zajęła się rozwiązaniem sytuacji, nakazując ciszę.

Chipette siedziała między Gerardem a młodą baronową de Pontferrier, której klasyczna uroda i blond włosy budziły jej podziw. Gerard myślał, że może tego wieczora stenotypistka nie ośmieli się otworzyć ust.

Pierwszy akt minął jakoś szczęśliwie w loży między kolumnami. Gerard odetchnął i nabrał otuchy.

W czasie pierwszej przerwy nadszedł Wilson, przepraszając za spóźnienie. Chipette ożywiła się na jego widok.

Przerwa, ku radości Gerarda, dobiegała końca. Początek drugiego aktu wywołuje śmiertelną nudę; na scenie panuje półmrok, podczas gdy bohaterowie kłócą się z wielkim krzykiem.

- To niezbyt zabawne... - szepnęła Chipette.

Gerard tak silnie uszczypnął ją w rękę, że omal nie krzyknęła, i postanowiła ostatecznie milczeć.

Przez resztę wieczoru nudziła się strasznie i doznała wielkiej ulgi, gdy Wilson oświadczył:

- Pójdziemy na kolację do „Cafe de Paris”.

Nareszcie! - rozpromieniła się, wkładając nurki, które ogromnie podobały się baronowej.

„Cafe de Paris” ...

Chipette, wracając czasami wieczorem, przechodziła obok wspaniałej restauracji. Dziś miała tam wejść.

Blask świateł, muzyka, znacznie przystępniejsza dla niej od muzyki Wagnera, podniosła ją na duchu i rozgrzała. Usiadłszy przy ukwieconym stole, promieniała. Niedawno w jadalni sir Edgara w Pałace poznała dyskretny, przytłumiony zbytek. Obecnie ujrzała błyskotliwy przepych modnych lokali i w swej naiwności uważała, że to jest znacznie piękniejsze.

- Doskonale dziś wyglądasz - mówił Chipette Anglik.

Roześmiała się. Śmiech jej był triumfem. W jej dziecinnych policzkach tworzyły się dołeczki, maleńkie, białe ząbki lśniły jak śnieg pomiędzy różowymi płatkami warg. Pontferrierowie, ujęci wdziękiem młodej mężatki, uśmiechali się do niej przyjaźnie. Już wychyliła kielich szampańskiego wina... i śmiała się coraz głośniej.

Gerardowi zimno się robiło.

Przewidywał katastrofę. Chipette zemści się za milczenie w operze i zacznie mówić głupstwa. Nie ordynarnie, jak ludzie z gminu, lecz będzie się posługiwała wyrazami na poły trywialnymi, używanymi przez lud. Pontferrierowie prawdopodobnie nie wspomną nic o tym Wilsonowi, lecz szybko wyrobią sobie właściwe zdanie. I Gerard, którego kuzynowie pożenili się z córkami lordów, który nie żywa dla Chipette żadnego uczucia miłości, wściekał się na myśl, że będzie wyglądał na męża praktykantki...

Co począć? Czy można powstrzymać wybuch Wezuwiusza lub Etny? Czy można zatamować wylew wielkiego gejzera islandzkiego lub przeszkodzić grzmotom piorunów? Przyszło mu na myśl, by udać omdlenie... atak... Odwieziono by go do domu, a Chipette musiałaby mu towarzyszyć. Odesłałby ją do matki...

Postanowił zatem wziąć sprawy w swoje ręce i nie dawać „żonie” okazji do prowadzenia konwersacji. Ten ciężar wziął na siebie.

Gerard był nie tylko marzycielem. Znał się na wszystkich zagadnieniach ekonomicznych. Studiował przesilenie przemysłu kauczukowego, bawełny i problemy kredytu, który spowodował upadłość Stanów Zjednoczonych. Żadna dziedzina nie była mu obca i przedstawiał swe myśli metodycznie. Czując, że Pontferrierowie słuchali go uważnie, snuł swe wywody jasno, zręcznie i precyzyjnie. Podawał bez

wysiłku dane statystyczne i dokładne cyfry. Ujawniał swą wartość.

Sir Edgar żałował, że go dotychczas nie doceniał. Dlaczego ten chłopak skrywał swe wiadomości pod niedbałą miną? Baronowa słuchała go uważnie, a Chipette była oczarowana.

Nie mogła wprost poznać „pana Gerarda"! Jakiś nieznany autorytet, urok i znaczenie przeobraziły go. Och! Mógł być teraz spokojny i zamilknąć. Po takim sztucznym ogniu, tylu poznanych wiadomościach, nie będzie śmiała pisać słówka. Czują ograniczoność swego wykształcenia, była przygnębiona własną ignorancją. Ile rzeczy wiedział ten Gerard Pasquier! Nie należy osądzać ludzi na podstawie pozorów!

Pontferrierowie mieli swój samochód. Sir Edgar poprosił Gerarda i Chipette do swego auta.

- Odwiozę was do domu - rzekł.

- Ulica d'Assas 24 - powiedział Gerard szoferowi. Kilka minut później zajechali na miejsce.

- Musisz zakupić na koszt banku samochód dla siebie. Teraz, gdy objąłeś stanowisko szefa wielkiego działu, nie wypada, byś nie miał samochodu do własnego użytku. Oszczędzisz zresztą w ten sposób dużo czasu.

Młody człowiek poczerwieniał z zadowolenia.

- Zatem zobaczymy się jutro - oświadczył bankier Chipette. - Przyjdź do hotelu o ósmej, gdyż chciałbym, byś mi pomogła w zrobieniu paru sprawunków. Wszak wiesz, że po południu nie będę już wolny, a jutro wieczorem wyjeżdżam.

Oddalił się, a Gerard i Chipette pozostali na chodniku. Pasquier zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i wsiadł do niej z Chipette.

- Odwiozę panią do domu. Matka pani niepokoi się. Nareszcie jutro w południe skończy się ta komedia. Przyznaję, że nieraz trząłem się ze strachu - wyznał Gerard.

- Chyba nie najgorzej grałam mą rolę? Nie gniewa się pan?

- Starala się pani. Nigdy pani nie zapomnę, że pani okazała życzliwość i inteligencję.

- Ja też jestem zadowolona. Ale gdy sir Edgar wróci, czy też będę uchodziła za... panią Pasquier?

- Nie, proszę się nie niepokoić.

- Ale, ale... jutro oddam panu nurki.

- Bardzo mi przykro ze względu na panią, lecz będę musiał zwrócić kiedyś wujowi to futro, oznajmiając mu... nasz rozwód.

- Ach?

- Okazała mi pani zbyt wiele życzliwości, bym robił przed panią tajemnice. Powiem pani, dlaczego, przyznaję, że nieostrożnie, prosiłem panią o odegranie roli małżonki.

I Gerard opowiedział jej szczegółowo o planie wysłania go do Uga - Bandy. Chipette kipiała oburzeniem.

- Muszę panu powiedzieć - rzekła - że cały czas bank był zdziwiony niesprawiedliwością, z jaką pana traktowano. I jeszcze ten pomysł wysłania pana do tak niebezpiecznego kraju.

- Dziękuję za sympatię. Tak, wuj jest dla mnie surowy, a jednak mam dlań wiele uczucia... mimo wszystko. Podziwiam jego nieporównaną inteligencję i wiem, że na dobre serce.

Nagle pożałował, że wywnętrzył się przed panną Moret i dodał z większą rezerwą:

- Proszę wierzyć, że potrafię się odwdzińczyć za pani cenną pomoc. Już pani jest na miejscu. Proszę być jeszcze jutro moją „żoną”, a w południe dam pani miesiąc urlopu i piękną gratyfikację!

Śmiał się, ściskając jej rękę. Chipette śmiała się również, lecz serce jej się nagle ścisnęło, gdy szła na górę po schodach bez dywanu. „Już zaczynasz myśleć o zbytku” -

powiedziałyby jej matka. Czy w tym wypadku była to kwestia zbytku? Myślała o mieszkaniu przy ulicy Pillet - Will, wyobrażała sobie niezwykle wykształconego, ujmującego Gerarda wracającego z żoną do domu, by w nim pozostać.

Ach! Schody nie wydawały jej się nigdy takie męczące. Jakże ciążyło lekkie futro i różowa jak obłok suknia...

A Gerard, wróciwszy do domu, pogwizdywał wesoło, patrząc na swój kawalerski pokój, z którego postanowił się jutro wyprowadzić. Zadowolony teraz i nie obawiający się już żadnych zmian - wszak podstęp dobiegał końca - powtarzał sobie na nutę fokstrota:

- Jutro w południe wszystko się skończy. Wuj wyjedzie!

Rozdział 6

Rano Chipette przyszła do sir Edgara do hotelu i razem z nim udała się na bulwary do ogrodników, gdyż chciał kupić cebulki rzadkich tulipanów. Przy tej sposobności baronet zmusił dziewczynę do przyjęcia dwu tysięcy franków „za które kochana siostrzenico, kupisz sobie kwiaty, gdy wyjadę”. Musiała przyjąć.

Był wzruszony do łez i nie chciał się rozstać z Chipette aż do chwili wyjazdu.

Zaledwie jednak wrócili do hotelu, Lip, jego sekretarz, oczekiwał go z tyłoma listami, że sir Edgar zgodził się, by „siostrzenica” przeszła do salonu i nastawiła gramofon.

Zaraz po jej wyjściu na powitanie naczelnego dyrektora zjawili się z usprawiedliwieniami dyrektor banku Berton i Jack Harvey, którzy pośpiesznie wrócili do Paryża. Telegram zawiadamiający Bertona o przyjeździe sir Edgara krążył od miasta do miasta, opóźniając powrót dyrektora. Jacka zatrzymał w drodze wypadek samochodowy.

Sir Edgar skrócił ich wyjaśnienia i zaczął zaraz mówić o interesach. Kazał przeczytać Bertonowi umowę, którą polecił napisać dla Gerarda. Berton, który cenił Pasquiera, potakiwał z zapalem. Jack uśmiechał się zimno.

Jack lubił bardzo swego kuzyna. Przyzwyczał się jednak do tego, że był lepiej od niego traktowany i przewyższał go pod każdym względem. Złościło go to, że Gerard miał mu dorównać. Skorzystał z mej nieobecności, by przedstawić się w korzystnym Świetle myślał - zupełnie jakby Pasquier nadużył swych praw.

Benonowi przedłożono inne umowy, które wymagały jednak pewnych zmian.

- Na szczęście zabrał pan tu jedną z bankowych stenotypistek - rzekł dyrektor. - Przez uchylone drzwi zauważyłem w salonie pannę Moret.

- Zapewne przysłał ją z biura Gerard - odparł sir Edgar - by dotrzymywała towarzystwa mej siostrzenicy.

- Więc wuj zabrał do Paryża którąś z kuzynek? - zapytał zdziwiony Jack.

- Ależ nie, mam na myśli Jocelyne, którą nazywają też Chipette, żonę Gerarda.

- Żonę Gerarda? Ależ nic o tym nie wiem, by Pasquier był żonaty czy zaręczony! - zawołał śmiejąc się Berton, który przypuszczał, że zaszła omyłka.

- Jak to, Gerard nie jest żonaty?

- A Chipette Moret jest jedną z naszych stenotypistek.

Sir Edgar zamknął drzwi do salonu, w którym Chipette słuchała muzyki i, stanąwszy przed Bertonom i Jackiem, rzekł:

- Śnię chyba... musicie mi to wyjaśnić...

Wiedzieli tylko, że Chipette dwa dni temu była urzędniczką, córką jakiejś biedaczki, stenotypistką, na którą Gerard Pasquier nie zwracał żadnej uwagi. Co w międzyczasie zaszło. Dlaczego Gerard przedstawił tę dziewczynę jako żonę?

- Ta mała jest bardzo pospolita! - powiedział wzgardliwie Jack.

- Po co ta komedia? - powtarzał zamyślony Berton. - Nie wiem...

- Ale może ona wie - powiedział sir Edgar.

I skierowawszy się w stronę salonu, otworzył drzwi.

Czekał ich tam widok, który od razu przekonał Anglika o wrodzonej wulgarności Chipette.

Znalazła ona płytę z piosenką: J'suis un p'tit trottin. Znała tę piosenkę w rytmie javy umiała ją doskonale i, tańcząc, śpiewała na głos z odpowiednią mimiką.

Gdy zobaczyła Wilsona, przypuszczając, że rozbawi swego „wujaszka”, śpiewała, niewzruszona, drugą zwrotkę.

Mimika, rytm i słowa idiotycznej, jakkolwiek zupełnie moralnej piosenki, otworzyły mu nagle oczy. To, co w

Chipette uważał za „spontaniczność, zabawną impulsywność”, przed stawilo mu się obecnie we właściwym świetle jako pospolitość. Został podle oszukany przez siostrzeńca i tę dziewczynę. Blady, oburzony, przerwał piosenkę Chipette.

- Panno Jocelyne Moret, proszę wejść do mego gabinetu.

Młoda dziewczyna umilkła z otwartymi ustami i tak zgłupiała, że, nie pomyślawszy nawet o zatrzymaniu płyty, weszła do gabinetu. Wzdrygnęła się, ujrawszy Bertona i Jacka i natychmiast zrozumiała wszystko.

Ogarnęła ją prawdziwa panika. Gerard, biedny Gerard był zdradzony! I może z jej winy.. Sir Edgar wyśle go może tam na śmierć... Gerard!

Coś się załamało w jej sercu.

- Zostawcie mnie panowie sam na sam z tą osobą - powiedział Anglik swemu dyrektorowi i siostrzeńcowi.

Chipette omal nie zemdląa.

Gerard, piękny, taki inteligentny i miły, był zgubiony...

- Zechce mi pani powiedzieć, dlaczego odgrywała pani tę niecną komedię? - zapytał lodowato sir Edgar.

Spojrzała nań z rozpaczą. I nagle ogarnął ją prawdziwy bunt. Lęk zniknął; stanęła śmiało przed naczelnym dyrektorem i z roziskrzonym wzrokiem krzyknęła mu w twarz:

- To przede wszystkim pana wina, wyłącznie pana wina! Sir Edgar podniósł brwi, zdumiony tym atakiem.

- Czy nie raczyłaby mi pani powiedzieć, dlaczego?

- Dlaczego? - powiedziała, ożywiając się dziewczyna, gotowa na wszystko by bronić tego, który jej zaufał. - Dlatego, że my wszyscy w banku, słyszy pan, wszyscy, byliśmy oburzeni, że pan tak traktuje Gerarda!

- Pani sobie za dużo pozwala.

- To jeszcze nie koniec! To wstyd, by taki młody, inteligentny i zdolny człowiek jak pan Gerard miał tak podrzędne stanowisko, a pan Jack zawsze był na pierwszym

miejscu. A gdy dowiedzieliśmy się, że dlatego, że jest kawalerem, chciał go pan wysłać do niebezpiecznego kraju, gdzie umarłby samotnie, nie zaznawszy nigdy radości życia, to mimo całego należącego szacunku, muszę panu powiedzieć, że wydawało nam się to wstrętne!

Dusiła się własnym oburzeniem i tak się zagalopowała, że nie zdawała sobie nawet sprawy, że nie miała prawa powiedzieć „my”, mówiąc o sobie i przypisywać swych uczuć wszystkim kolegom. Nie wiedziała nawet, jak zręcznie postąpiła. Nie pozwoliwszy Wilsonowi odetchnąć, ciągnęła dalej, pragnąc wziąć winę na siebie by uniewinnić Gerarda.

- I to ja sama, słyszy pan ja sama podsunęłam myśl tej mistyfikacji, aby przeszkodzić panu w wyrządzeniu krzywdy i wysłaniu na śmierć syna pana biednej siostry!

- Proszę milczeć - powiedziała Anglik, który zbladł bardzo i wstał, by ją wyrzucić za drzwi.

Lecz kto przeszkodziłby Chipette mówić?

- Nie, nie zamilknę! Chcę, by pan wiedział, że Gerard nie chciał pana oszukać. Chodziło jednak o jego życie. Musiał się bronić przed panem, tak, właśnie przed panem, swym wujem, którego tak kocha. Bo on pana kocha! Boże, jak on się wyraża o panu, z jakim szacunkiem i podziwem! Jak byłby dumny, gdyby zasłużył na pana pochwały. Tak, proszę pana, Gerard kocha pana jak ojca. Lecz pan okazał się nielitościwym ojcem. Pan, który może, umie być taki dobry, taki niezwykle wspaniałomyślny...

Skąd Chipette czerpała te argumenty? Jak umiejętnie obwiniła Wilsona, dowodziła mu okrucieństwa, wzruszała go, mówiąc o miłości Gerarda, jak zręcznie łączyła wyrzuty z pochwałami! Sama nie potrafiłaby odpowiedzieć na to pytanie. Ta namiętna obrona Gerarda wyszła z głębi jej serca, wywołana nieznanym jej uczuciem. Osłupiały Wilson nie przerywał, bo wzruszyła go wiadomość o miłości siostrzeńca.

Komplementy Chipette zbijały go z tropu. A poza tym dziewczyna była taka piękna...

Nagle zaczęła płakać, bo wydało się jej, że przekroczyła miarę i na zawsze zraziła sir Edgara do Gerarda.

- Niech pan przebaczy jemu i mnie! Tylko ja jestem winna. Ja wszystko wymyśliłam. Ach! I wie pan, te nurki, które mi pan ofiarował, Gerard miał je panu zwrócić. A co do tych dwóch tysięcy franków... Ach, Boże, przysięgam panu, że będę je panu spłacać co miesiąc. Proszę się nie gniewać na Gerarda, był taki nieszczęśliwy... Proszę nam przebaczyć!

- Dość. Proszę się uspokoić. A tu napisać imię, nazwisko i adres. Dobrze. A teraz proszę odpowiedzieć: ma pani narzeczonego?

- Nie - odrzekła zdziwiona Chipette. - Flirt?

- Och! To jeszcze mniej: - Wystarczy.

I wrócił do swego gabinetu.

Długi czas namyślał się...

Dawno już nic go tak nie poruszyło. I nigdy ten wielki finansista, przed którym drżało pięć tysięcy urzędników we wszystkich pięciu częściach świata, z którym monarchowie rozmawiali po przyjacielsku, ten pewnego rodzaju król, nie usłyszał podobnej nagany! Był oburzony na siebie, że nie przerwał tej szalonej dziewczynie.

Czy należało jednak kazać jej zamilknąć? Wszak w jego interesie leżało dowiedzieć się, co o nim myślą. „Wszyscy” w banku uważali go za nielitościwego. Ba! Cóż mu zależało na ich zdaniu? A jednak... Czy Gerard nie miał prawa bronić podstępem własnego życia? Było to straszne oskarżenie. Gerard mógł przecież po prostu zmienić posadę...

Zapewne, lecz w takim razie on, człowiek bogaty i możny, zmuszałby syna zmarłej siostry, własnego siostrzeńca do wybierania pomiędzy średnią zamożnością a narażaniem życia? Czy to było postępowanie wuja?

Czy Gerard kochał go naprawdę tak, jak twierdziła Chipette? Czy to możliwe, aby on, stary kawaler, mówiący sobie w chwilach trzeźwości, że rodzina kocha go tylko dla pieniędzy, dokuczał - nie wiadomo właściwie z jakich powodów - jedynemu szczeremu siostrzeńcowi?

Wilson wzruszył ramionami. Jedno było jasne: Gerard zadrwił z niego, oszukał go.

Przypomniał sobie o dobrodziejstwach, którymi go obsypał... ze względu na Chipette. Ta mała jest dzielna - pomyślał - broniła go jak lwica. Niewątpliwie ma dobre serce i odwagę. Zapewne kocha Gerarda...

Nagle zawezwał swego sekretarza.

Lip zjawił się, przerażony, dowiedziawszy się od Bertona i Jacka o wykryciu całej intrygi...

- Proszę mi przynieść umowę, przygotowaną dla Gerarda Pasquiera - polecił Wilson.

- Oto ona. A to są układy z ministerstwem spraw...

- Do diabła z ministerstwami! Proszę poszukać Gerarda, czekam na niego. Niech pan przypilnuje, by przyszedł wprost do mnie i z nikim się przedtem nie kontaktował. Rozumie pan z nikim.

Wilson dopisał szybko jeden ustęp do umowy. Zaledwie skończył. Lip wprowadził Pasquiera, nie podejrzewającego zupełnie tego, co zaszło.

- Wydajesz się dziś jakiś znużony, wujaszku... - powiedział ze szczerym przywiązaniem.

Wilson był istotnie jeszcze blady. Nigdy żaden z siostrzeńców nie dostrzega mego zmęczenia - pomyślał. - Niestety, ten jedyny, który zdaje się mną interesować, jest zarazem tym jedynym, który mnie oszukał!

- Mam się doskonale - odparł spokojnie. - Mam jednak bardzo niewiele czasu. Przeczytaj twą umowę i podpisz.

Gerard zabrał się z zapalem do przejrzenia treści. Było tam wszystko, czego się spodziewał; a nawet więcej: podwójne pobory, procenty od zysków, bezpłatne mieszkanie z opalem i oświetleniem, samochód do dyspozycji i inne korzyści... Osiągnął wszystko, czego pragnął, i przykro mu się teraz zrobiło, że zawdzięczał to wyłącznie przebiegłości... Jego uczciwość się buntowała. Otrzymałem to wszystko dzięki Chipette - pomyślał. To stwierdzenie dyktowała mu uczciwość. Dochodził już do ostatnich wierszy... pozostawał jeszcze tylko ustęp, dodany przed chwilą przez sir Edgara. I Gerard nagle trupio blady, przeczytał:

Umowa ważna jest tylko pod warunkiem, że w ciągu miesiąca Gerard Pasquier poślubi Jocelyne Moret, zwaną Chipette, zamieszkałą przy ulicy Francs - Bourgeois 17.

Gerard zerwał się, zdruzgotany. Więc Wilson wiedział! Gerard, który onegdaj lękał się jeszcze, że wszystko wyjdzie na jaw, nabrał otuchy. Tego ranka nie wątpił w swe powodzenie i ta nieoczekiwana porażka, gwałtowne upokorzenie odczuwane na myśl, że jest zdemaskowany, paliły go jak rozpalone żelazo. Był zrozpaczony, a zarazem zawstydzony i wściekły.

- Wuju!

Sir Edgar powiedział zimno, podając mu pióro:

- Podpisz lub podrzyj. Jak chcesz.

Gerard miał wielką ochotę zniszczyć umowę, podnieść głowę w odpowiedzi na afront polegający na tym, że został przyłapany na oszustwie.

- Wujaszku, posłuchaj...

- Nie mamy czasu. Podpisz lub wynoś się na zawsze!

Gerard dostrzegł drugą stronę tej sytuacji.

- A jeśli podpiszę, wybaczysz mi... skoro wszystko stanie się niemal prawdą?

- Tak.

- Zatem podpisuję i to z wielką ulgą, gdyż dużo mnie to kosztowało, że cię oszukiwałem. Wszystko zapomniane, prawda? Wszystko?

- Podpisałeś. Dobrze. Lip, proszę zawołać pannę Moret. Ach, to pani... czy zgadza się pani poślubić Gerarda Pasquiera?

- Ja, ależ... czy to znowu żartem czy naprawdę? - zapytała oszołomiona.

- To nie są żarty. Tym razem sprawa jest poważna - odparł Wilson.

- Och! Zatem chcę... jeśli on chce...

- Więc porozumcie się. Ślub ma się odbyć w ciągu miesiąca. Będę świadkiem. A teraz żegnam. Nie, nie podawajmy sobie rąk. Pozwólmy upłynąć czasowi. Śpieszę się. Idźcie.

- Zemścił się pan szlachetnie, sir... - stwierdził Lip.

- Nie w sposób, w jaki pan sobie wyobraża, Lip - odparł się Edgar. - Ten zarozumialec Gerard nie żeni się z córką adwokata, lecz z dziewczyną z ludu. Oto moja zemsta!

Rozdział 7

Wszystko szło dobrze. Ślub odbył się w kaplicy kościoła Petits - Manteaux - Gris, niewielkiej, lecz tak pełnej białych azalii, że wyglądała zbyt kownie jak prywatna kaplica prałata o dobrym guście. A Chipette, zatopiona w modlitwie, przestała być w kościele małą dziewczynką - łobuzem. Jej powaga dała Gerardowi dużo do myślenia.

Następnie udano się na śniadanie do hotelu Królowej Izabeli. Tam Chipette rozweseliła się, zaczęła pić szampana.

Jack Harvey był zazdrosny o powodzenie Gerarda i o okazywaną mu przez Wilsona życzliwość. Chcąc zirytować kuzyna, umyślnie „naciągał” Chipette, by mówiła głupstwa. Pomagała mu w tym żona, rozgniewana jeszcze bardziej od niego powodzeniem Pasquiera. Chipette powstrzymywała się jednak, pilnowana przez matkę. Pani Moret - ku zadowoleniu Gerarda - stanęła na wysokości zadania. Ubrana skromnie, lecz nie bez pewnej elegancji, taktownie nie zabierała głosu i zadowalała się uśmiechem, a jej dystyngowane, regularne rysy - Chipette odziedziczyła po niej drobne usta - nadawały jej wytwornego wyglądu. Wilson uważał, że mama jest bez zarzutu.

Pracownicy banku winszowali młodej parze z wymuszonymi uśmiechami...

W tejże chwili maitre d'hotel poprosił Pasquiera o kilka słów na osobności.

Gerard wyszedł do hallu. Maitre d'hotel pragnął mu przedstawić syna i prosić dlań o po parcie sir Edgara.

Gerard odpowiedział uprzejmie i zamierzał wrócić do salonu, kiedy ujrzał zbliżającą się Augustę Blanchot.

W pierwszej chwili nie poznał jej, lecz pomyślał: Co za piękne stworzenie... Gdy podeszła ku niemu, szepnął w zachwycie:

- Augusto, to pani!

Podawała mu rękę, uśmiechnęła się podnosząc dumną główkę w aureoli futra.

- Chciałam panu powinszować, kochany przyjacielu. - Ucieszyła się, że spotkała go samego i mogła powiedzieć mu parę stów, zanim się zobaczy z młodą oblubienicą. Nie czekając na odpowiedź Gerarda, dodała: - Widzi pan, że miałam słuszność, nie przejmując się i nie dramatyzując, gdy pan wspominał o wyjeździe do Uga - Bandy... Nie tylko pan nie wyjechał i nie był narażony na niebezpieczeństwo, lecz jeszcze zrobił pan, jak mi opowiadano, świetną partię. Zapewne było to małżeństwo z miłości, skoro pan wybrał stenotypistkę mogąc starać się o każdą pannę...

Słowa Augusty były dla Gerarda pochlebne, a zarazem raniły jego dumę.

- A teraz bardzo proszę przedstawić mnie żonie pana.

Udała się do salonu. Szedł za nią, czując zamęt ogarniający nagle jego duszę i może serce Odkąd się zaręczył, pochłoneła go ambicja i zadowolenie z materialnego komfortu. Nagle zjawiała się miłość... Czuł jakby szum jej skrzydeł... Była to może tylko krew szumiąca w jego uszach.

Gerard otworzył drzwi do salonu i usunął się, by przepuścić Augustę.

- Och! Zachwycająca! - powiedziała zdziwionym i drwiącym tonem. I Gerard ujrzał przez jej ramię żonę...

Kiedy wyszedł z salonu, a sir Edgar i lady Helster też się wymknęli, Chipette pozostała z matką, Martinami, dawnymi kolegami i Jackiem. Harvey przypomniał jej, jak śpiewała piosenkę o małej dziewczynce.

- Była pani urocza. Co za temperament! - mówił perfidnie. - Jestem pewny, że dzięki temu zjednała pani sobie wuja. Niech pani znowu coś zaśpiewa - nalegał kusiciel.

- Nigdy pani nie słyszałam! - dodała pani Harvey.

Nie trzeba było namawiać Chipette, która nie wiedziała zresztą, co można było zarzucić tej przyzwoitej piosence, zakończonej oświadczeniami. To też Gerard i Augusta wchodząc, zobaczyli Chipette, która, podparłszy się pod boki, śpiewała.

Panna Blanchot wybuchnęła szyderczym śmiechem, który powstrzymał śpiewaczkę. Gerard rzucił się ku żonie i ścisnął jej rękę.

- Oszalałaś? Nie wiesz chyba, gdzie jesteś?

Zmieszana Chipette zamilkła. Wszyscy otoczyli młodą parę, a Jack krzyczał, że to było „śliczne” i że Gerard jest „okropnym tyranem”. Augusta skorzystała z zamieszania, by się wymknąć.

- Jest późno, nie oczekuję już nikogo. W hallu jest dancing, zabawcie się, kochani państwo. My już odchodzimy - oświadczył Gerard niespodziewanie.

Zawstydzona Chipette ucałowała matkę, pożegnała się z obecnymi, włożyła słynne futro z nurków i wyszła z mężem.

Wsiadł do samochodu. Usiadła obok niego, lecz tren jej ślubnej sukni tak zawadzał, że Gerard stwierdził:

- Nie mogę kierować autem. Lepiej będzie, jeśli usiądziesz z tyłu.

Usłuchała z żalem, gdyż wolałaby się przytulić do męża. Odkąd zostali sami, słowo „mąż” nabrało nagle dla niej niewysłowionego wdzięku. Pojęła jednak, że przeszkadzałaby i usiadła na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Nie wrócimy zaraz na ulicę Pillet - Will. Pojedziemy na spacer.

Zgodziła się i samochód ruszył.

Z początku milczenie męża zdziwiło ją i sprawiło jej przykrość. Gerard nie odezwał się słowem. O czym myślał? Może nie lubił mówić, kierując autem. A Chipette szalała z radości, że siedzi wreszcie we własnym samochodzie. Była

tak szczęśliwa, że nie potrafiła się niczym smucić. Otulona w nurki, gdyż wieczór był chłodny, cieszyła się jazdą pośród ciemnych lasów okolic Paryża.

Gerard zatrzymał się w Wersalu przed Trianon.

- Gdybyś zdjęła welon i mogła podnieść tren, wyglądałabyś jak w wieczorowej sukni i moglibyśmy zjeść tu kolację - zaproponował.

Była zręczną paryżanką, toteż błyskawicznie ułożyła ślubną suknię i usiedli przy bocznym stoliku, nie zwróciwszy niczyjej uwagi.

W czasie obiadu Gerard był milczący, lecz Chipette mówiła za dwoje i korzystała z tego, że on nie przerywał. W windzie śmiała się radośnie, a wszedłszy do mieszkania, rzuciła torebkę, płaszcz, welon i zaczęła biegać po mieszkaniu jak szalona, dotykając drobnostek, poprawiając poduszki.

Po czym, ujrawszy Gerarda na środku salonu, rzuciła się mu na szyję i zawołała, oszołomiona szczęściem:

- Och! Mój Gege, mój Gege!

Odkoczył i odsunął ją gwałtownie.

- Co?

- No tak... Gerard to za długie imię. Nie chcesz, bym cię nazywała Gege? To bardzo ładnie.

Pospolite „Gege” przebrało miarę...

- Zamilcz, na miłość boską. Mam tego dość, rozumiesz, dość!

- Czego dość?

- Wszystkiego. Życia; Wilsona, małżeństwa, ciebie, przede wszystkim właśnie ciebie!

- Mnie? Mnie masz już dość, jakkolwiek pobraliśmy się dopiero dziś rano? - zawołała z niedowierzaniem, śmiejąc się jeszcze.

- Tak, dzisiejszy dzień mi już wystarczy. Zmęczyła mnie twoja pospolitość!

- Śmiesz mówić, że się za mnie wstydzisz!

- Wstydzę się Jacka i jego żony, którzy śmiali się z ciebie. Jeżeli zadrwiono z ciebie, to dlatego, że nie masz żadnego obejścia, nie umiesz nawet milczeć, jak twoja matka i przynajmniej pokryć swych braków dystygowaną minką. Nie, jesteś wulgarna i taka pozostaniesz!

Tym razem osłupiała i urażona Chipette nie umiała się bronić, czując, że Gerard mówi prawdę i że istotnie z niej zadrwiono. Słuchała więc tylko z przerażeniem.

- Jak powiedziałem przed chwilą: wpadłem w pułapkę. I pomyśleć, że przez sześć tygodni niczego nie zauważyłem! Myślałem, że zmieniawszy otoczenie, nabierzesz ogłady. Tyle się mówi o tej, tak zwanej kobiecej umiejętności przystosowania się do ster, w jakich żyją!

Wszystko kłamstwo! A może bywa tak, jeśli te dziewczęta są inteligentne. Pani żywe oczy i pojętny wyraz twarzy mogą wywołać złudzenia. Jest pani jednak i na pewno pozostanie zwykłą dziewczyną!

- Zwykłą...

Podniecał się coraz bardziej, blady, z zaciśniętymi pięściami biegał po pokoju, czując, że załamuje się w nim całe delikatne uczucie, jakie przez krótki czas żywił dla Chipette, przywiązanie, na które złożyła się wdzięczność za brawurę, z jaką ta mała go broniła i chciała mu się przysłużyć. I to, w okresie ich krótkich zaręczyn, zmyliło jego uczucia.

Wszystko to jednak się skończyło, gdy ujrzał znowu Augustę. Ta piękna dziewczyna była dlań dumą kochania. Zdawało mu się, że przez ostatnie parę tygodni miał zasłonę na oczach. Znowu był zakochany w pannie Blanchot, wmawiał sobie, że wszystko stało się z jego winy, że źle zrozumiał Augustę i że gdyby był do niej wrócił, byłaby się z nim zaręczyła.

- Nie, nadaję się, by żyć z tego rodzaju bohaterką - ciągnął dalej jeszcze ostrzej. - Mogłem poślubić kobietę, o której marzyłem. Spotkałem mój ideał... I na nieszczęście szereg głupich nieporozumień poróżnił mnie z nią... Nie wiem, czy byłem tchórzem, czy głupcem!

Chipette doznała wstrząsu na te słowa. Osunęła się na kanapkę i szepnęła:

- Pragnie pan innej...

Oszołomiona, nie cierpiała nawet, zgadzając się na wszystko, gdyż uczuła się nagle słaba...

- I porzuciłem tę kobietę, by poślubić kogo? Stenotypistkę, która w dniu ślubu śpiewa kabaretowe piosenki i jest pośmiewiskiem wszystkich!

- Och! Przez litość!

- Otóż nie chcę być ośmieszany! Nie chcę psuć sobie całej kariery. Dość tego. Pozostawię pani to mieszkanie i ten zbytek. Radzę wyjść za pomocnika sklepu korzennego z pani dzielnicy, nazywać go kotkiem, małpeczką czy staruszkiem, lecz proszę nie pchać się do towarzystwa, a przede wszystkim zostawić mnie w spokoju. Żegnam!

Chciała się zerwać, pobiec za nim. Nie mogła się jednak ruszyć z miejsca.

- Dokąd idziesz, Gerardzie? - krzyknęła dopiero, gdy doszedł do drzwi. Odwrócił się, spojrzał na nią zimno.

- Na tę noc do mego kawalerskiego mieszkania. I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Rozdział 8

Florencja, 27 maja 19...

Kochany Wuju!

Otrzymałem Twój list, wzywający mnie do Paryża. Pozwól, bym odpowiedział najpierw nie Wujowi, dla którego będę żywił zawsze niezmiennie uczucia, lecz dyrektorowi banku.

Wydaje mi się, że w sprawach bankowych nasze poglądy będą zawsze różne. Obawiam się, że w Twoim banku nie osiągnę nigdy tego stanowiska, jakie mógłbym zająć w innej firmie. Mam wrażenie, że w tych warunkach będzie stanowczo lepiej, jeśli się wycofam i spróbuję szczęścia gdzie indziej. Dlatego też proszę Cię bardzo o przyjęcie mej dymisji - czytała Augusta list, który podczas spaceru po ogrodach Florencji wręczył jej Gerard.

- Porzuca pan sir Edgara? - zawołała Augusta, zachwycona, a równocześnie zaniepokojona.

- Tak.

- Ale co pan zrobi?

- Pomyślałem już o tym - odparł, całując jej rękę. - Porozumiałem się z innym bankiem, też bardzo potężnym, Webstera i Spółki, który proponuje mi posadę w Kairze. Czy zgodziłaby się pani pojechać tam ze mną, gdy się pobierzemy? Odpowiedz mi, proszę, kochana Augusto, czy pojechałabyś ze mną do Kairu?

- Owszem. Ale co pan zrobi z żoną? '

- Proszę czytać dalej.

Augusta czytała z wielkim zainteresowaniem:

Nie widzę więc, kochany Wuju, konieczności powrotu do Paryża, Co się zaś tyczy mej żony, to jestem przekonany, że podzielasz me zdanie, iż nie jesteśmy dla siebie odpowiedni i nasz związek nie mógłby być szczęśliwy. Nie wspominałeś mi zresztą o niej nigdy, co dostatecznie świadczy, że zrozumiałeś

prawdziwe położenie, czyli, że nasz rozwód jest konieczny. Ponieważ nasze małżeństwo nie było spełnione, nietrudno będzie pani Jocelyne Moret uzyskać unieważnienie ślubu kościelnego i cywilnego. Oczywiście, biorę wszelkie winy na siebie. Wobec tego ona powinna zażądać rozwodu ode mnie.

- Oszalałeś? - zawołała bezwzględna Augusta. - Jeśli weźmiesz winę na siebie, będziesz jej musiał płacić pensję. Trzeba mówić o wspólnej winie albo w ogóle nic o tym nie wspominać.

- A jeśli nie zechce wystąpić o rozwód, to co zrobicie? - zapytała zaniepokojona pani Blanchot.

- Potrafię ją zmusić. - Jak?

- To moja tajemnica, lecz pozostawcie to mnie. Jestem pewny, że za trzy miesiące będę wolny. W jesieni będę mógł się żenić.

- Nareszcie! - szepnęła młoda panna z widoczną ulgą.

- Pozbywam się już głupiego uporu, który przykuł mnie do Wilsona i kazał znosić odeń wszystko, by go sobie zjednać. Czasem człowiek bywa taki uparty! Ale ty, piękna czarodziejko, złamałaś ten upór.

Augusta udawała, że słucha, lecz w istocie ona i matka myślały tylko o jednym: nareszcie dopięły celu!... Była to z ich strony nie lada odwaga zebrać niewielkie oszczędności i wyjechać do Florencji w nadziei odzyskania Gerarda. Było to nawet znacznie trudniejsze niż obie kobiety przypuszczały. Gerard był ogromnie wzruszony widokiem Augusty, lecz oświadczył jej bardzo stanowczo, że nie może się po nim niczego spodziewać. Opuścił wprawdzie żonę w przypiływie rozdrażnienia, ale zamierza wrócić po kilku miesiącach do Paryża i rozpocząć wreszcie pożycie małżeńskie. Augusta była przerażona, lecz zapewniła Pasquiera, że przyjechała do Florencji tylko dla rozrywki. Gerard nie będzie zupełnie skrepowany jej obecnością, a ponieważ Augusta podróżuje z

matką, nie narazi się na kompromitację. Udawała, że nie ma żadnych pretensji.

Lecz od tej chwili starała się wszelkimi siłami zdobyć młodego człowieka i od czasu do czasu podniecić go zazdrością. Ku jej wściekłości Gerard opierał się, aż w końcu zdecydował się nagle, jak świadczył list do wuja, zerwać, by się z nią ożenić.

Niestety, rozwód pociągnął za sobą zerwanie z Wilsonem. Pasquier umiał sobie co prawda zapewnić inne stanowisko, a w dodatku Kair pociągał młodą dziewczynę nadzieją przygód, z których obiecywała sobie wyciągać korzyści... Dzięki niej mąż robi „karierę”. Kair wytworzy pewien korzystny miraż... To już wystarczało.

Nareszcie ona, wytworna kobieta, triumfowała nad tą jakąś stenotypistką, która na swym piątym pięterku cerowała zapewne pończochy, śpiewając jakąś modną „piłę”...

Wiele pałaców przeszło we Florencji z rąk zubożałych i nie będących w stanie ich utrzymywać właścicieli do rąk kupieckich. Toteż krawcowe mieszkały często pod sufitami z freskami, a filia banku „Comles Reunis” zajmowała dawny pałac szefa Gonfalonierów.

Gerard posiadał - w przeciwieństwie do ulicy Pillet - Will - gabinet o wysokości sześciu metrów, którego złożony strop łukowy był sławny w całym mieście.

Cztery dni po widzeniu się z Augustą w ogrodach Boboli, gdy Pasquier był zajęty sprawdzaniem rachunków, ciężkie rzeźbione drzwi otworzyły się cicho i jakiś głos rzeki:

- Dzień dobry!

W drzwiach stał sir Edgar.

Gerard zerwał się, niemile zdziwiony. Na próżno szukał w porannej poczcie odpowiedzi Wilsona na swą dymisję. Wywnioskował z tego, że wuj pozostawił sobie czas do namysłu. Może nawet będzie go chciał zatrzymać, proponując

mu korzystniejsze warunki. Pasquier nie pomyślałby jednak nigdy, aby Wilson przyjechał umyślnie z Paryża dla omówienia tej sprawy. Był zdumiony i zaniepokojony, a równocześnie to mu pochlebiło. Jakie komplikacje mogły wyniknąć z przybycia sir Edgara?

- Musiałem przyjechać do Florencji, by nacieszyć się wiosną. Mielśmy tej zimy w Paryżu wstrętą pogodę!

- Sześć tygodni temu cała okolica Florencji była olbrzymim bukietem polnych kwiatów. Teraz zaczynają już kwitnąć róże.

Była to zaiste bardzo poetyczna rozmowa, jak na biuro banku i bardzo odległy temat od istotnych myśli obu mężczyzn. Wilson zaczął zresztą zaraz mówić o interesach. Zawezwano dyrektora banku, Włocha, i czas schodził na rozważaniach natury ekonomicznej, a wobec obojętnego zachowania wuja Gerard zaczął się zastanawiać, czy jego list, informujący o dymisji, w ogóle doszedł..

Nie mógł się dłużej powstrzymać i korzystając z przerwy, gdy dyrektor wyszedł po jakieś akta, młody człowiek zaczął indagować.

- Mógłbym zapytać, czy dostałeś...

- Oczywiście i przyjąłem do wiadomości.

Mówił obojętnie i zdawał się uważać tę dymisję za najbardziej naturalną rzecz w świecie, nie mającą najmniejszego znaczenia. Jakkolwiek nie starał się zatrzymać Gerarda, to cenił go teraz znacznie bardziej. Jest odważniejszy, niż sądziłem - myślał - a zawsze mi się to podobało, jeśli młody człowiek szuka szczęścia, nie cofając się przed ryzykiem.

- Ponieważ jednak powinieneś wypowiedzieć mi na miesiąc przed odejściem z posady - ciągnął dalej po angielsku - musisz pozostać jeszcze jakiś czas...

- Och, wuju! - odparł spiesznie Gerard. - Nigdy o tym nie myślałem, by nagle się z tobą rozstać...

- Sądzę jednak, że będę mógł cię zwolnić za dwa tygodnie, gdyż będziesz zapewne potrzebował trochę czasu na przygotowania do podróży do Egiptu.

Zbliżał się wieczór i baronet zbierał się do wyjścia.

- Zapewne wuj zamieszkał w Imperialu? - zapytał Pasquier.

- Nie - odrzekł Anglik. - Lady Helster posiada we Florencji pałac i właśnie tam mieszkam. Dziś jednak zapraszam panów - zwrócił się do dyrektora i do siostrzeńca - na obiad do restauracji.

Niebawem trzej panowie siedzieli w najlepszej restauracji florenckiej, a Pasquier widział w pobliskim lustrze wszystkich przybywających. Nagle słowa uwięzły mu w gardle, gdyż ujrzał w lustrze państwa Foringham, którzy nie byli sami, lecz wchodzili z Chipette, która była w skromnej lecz wytwornej wieczorowej sukni. Jest damą do towarzystwa księżnej! - pomyślał młody człowiek. - Lecz ku jego zdumieniu lady Helster pytała ją o zdanie w kwestii wyboru stolika, a księżę zdawał się stosować do woli Chipette.

Nic nie rozumiejąc, Gerard zwrócił się ku Wilsonowi, który udawał, że nie widzi wchodzącej trójki. Pokusa była jednak zbyt wielka i zagadnął:

- Myślałem, że przybyłeś sam do Florencji, wuju, a tymczasem widzę, że towarzyszą ci Helsterowie.

- Nie są zresztą sami - wtrącił dyrektor, który ich dobrze znał. - Zauważyłem też jakąś śliczną osóbkę.

- Jedna z ich znajomych... - powiedział niedbale sir Edgar.

- W każdym razie urocza kobieta - oświadczył dyrektor, który jako prawdziwy Włoch był niezwykle wrażliwy na urodę kobietę.

Ani Wilson, ani Pasquier nic nie odrzekli na tę uwagę i zaczęli mówić o polityce, podczas gdy przy stole księcia de Foringham nie zauważono, jak się zdawało, ich obecności. Chipette siedziała w ten sposób, że nie mogła widzieć stolika Wilsona i rzeczywiście nie domyślała się obecności męża.

Czy w przeciwnym razie by tak spokojnie wyglądała? - zastanawiał się Gerard.

Oczywiście, że cztery miesiące wcześniej, nazajutrz po ślubie, była mniej pogodnie usposobiona. A sir Edgar był niemal tak jak ona wzruszony, gdy telefonował tego samego dnia do lady Helster.

- Nie wiem, kochana księżno - mówił - co się stało z naszą młodą parą! Otrzymałem od mego siostrzeńca Gerarda list, że wyjeżdża sam do Florencji, gdzie oczekują go zajęcia i, jego zdaniem, lepiej będzie, by Chipette pozostała w Paryżu. Co to może znaczyć? Czyżby kochane maleństwo źle się czuło i jak w takim razie jej mąż może ją opuścić nazajutrz po ślubie?

- Ja również tego nie pojmuję - odparła księżna. - Najlepiej byłoby wstąpić do ich mieszkania.

Niebawem zajechali samochodem przed bank i zadzwonili do drzwi mieszkania Pasquierów na piątym piętrze paryskiej filii banku. Otworzyła im pokojówka z nieszczęśliwą miną.

- Co się stało? - zapytali Anglik i lady Helster.

- Pani jest w salonie - odrzekła pokojówka.

Istotnie zastali „panią” w fotelu medytującą z zapłakanymi oczyma.

- Och! - zawołała na ich widok. - Czy Gerard was przysyła? Wczoraj wieczorem uciekł ode mnie, trzasnąwszy drzwiami!

- Nie, kochane maleństwo, to nie on. Oto list, otrzymany od mego siostrzeńca. Chipette przeczytała pismo Gerarda.

- Po wczorajszym zajściu spodziewałam się tego.

I opowiedziała im, co zaszło wczoraj między nią a mężem.

- Łajdak! Jak śmiał się tak z tobą obejść! - wybuchnął Wilson. - Musisz zaraz zerwać z nim i rozwieść się!

- Nie - odrzekła z mocą. - Jestem katoliczką...

- Och, znajdzie się dość powodów do unieważnienia tego małżeństwa! Zerwij z tym podłym człowiekiem, a ja ci już znajdę dobrego męża!

Lecz Chipette krzyczała z płaczem:

- Nie chcę, nie chcę! Kocham go! Wilson umilkł.

Lady Helster nie wyrzekła słowa od początku rozmowy.

Chipette szlochała.

Kochała Gerarda!

Kiedy zrodziło się w niej to uczucie? Czy wówczas, gdy broniła Gerarda w hotelu Izabeli? Możliwe, lecz było ono słabe, a w okresie zaręczyn tak rzadko widywała przyszłego męża, że nie myślała o miłości.

Kiedy go więc pokochała? Tej właśnie nocy, gdy samotna, opuszczona, rozmyślała, jak energicznie z nią zerwał i zaczęła kochać jego siłę i energię, jakkolwiek stała się jej ofiarą.

Czy nadejdzie taki dzień, w którym Gerard weźmie ją w ramiona?

- Och! - mówiła zdruzgotana Chipette. - Słusznie powiedział wczoraj, że nie jestem go godna. Czuję, naturalnie, że nie jestem z jego sfery, nie posiadam takiego jak on wychowania, przynoszę mu wstyd i jestem zrozpaczona, że musiał się za mnie czerwienić!

Wilson chciał protestować, lecz zabrała głos lady Helster.

- Pozwólmy temu dziecku trochę się uspokoić, kochany sir Edgarze - rzekła - i przejdźmy do jadalni, gdyż chciałabym z panem pomówić.

Anglik wyszedł z księżną.

- Wszak mogę mówić z panem szczerze, nieprawdaż? Otóż Chipette słusznie uważa, że stoi niżej od męża, a pan

postąpił niesłusznie, nalegając na związek dwu istot tak różnej klasy -

- Chciałem uszczęśliwić to dzielne maleństwo... - rzekł sir Edgar.

- I zemścić się przy tym za podstęp Gerarda. Ale zemsta pana skupiła się głównie na Chipette. Nie wiadomo, czy Gerard jest szczęśliwy, lecz nie ulega wątpliwości, że ona jest nieszczęśliwa.

- Niestety, kochana przyjaciółko. Ale co teraz począć? Czy radzi mi pani, bym zmusił Gerarda do pozostania w Paryżu?

- W żadnym wypadku. Proszę mu pozwolić jechać. Trzeba, by przez kilka miesięcy przebywał z dala od żony, a w miarę czasu ona nabierze ogłady i stanie się jemu równa. Zabiorę ją do siebie i będzie mi dotrzymywała towarzystwa i to bynajmniej nie jako „dama do towarzystwa”. Nie, zapoznam ją tylko z życiem towarzyskim, a gdy Gerard wróci do niej, będzie mógł być z niej dumny.

- Och, kochana księżno, pani by to uczyniła? Jaka pani jest dobra...

- Więc proszę już iść i pozostawić mnie z Jocelyne. A za trzy miesiące sprowadzimy Gerarda, który wnet się zakocha.

- Czy nie wspominał jednak, że kocha jakąś inną? - powiedział Wilson, przypominając sobie słowa Chipette.

- To prawda - odrzekła lady Helster - lecz we Florencji będzie daleko od tej „innej” i nie przeszkodzi nam ona w naszych planach. Jestem pewna powodzenia.

Tym razem, jak wiadomo, lady Helster się myliła, gdyż ta „inna” czuwała.

Księżna przeprowadziła natomiast w zupełności pierwszą część planu. Chipette zamieszkała w obszernych apartamentach przy ulicy de Passy, które księżna zajmowała podczas pobytu księcia w Berlinie. Księżna zaś, jak przyrzekła

sir Edgarowi, zajęła się gorliwie Chipette. Młoda dziewczyna, mimo pozornej trzpiotowatości, była bardzo inteligentna i z całego serca pragnąc stać się godną Gerarda, stosowała się posłusznie do rad księżnej. Ponieważ nie można jednak tak szybko, jakby się chciało, uzupełnić wychowania, a zwłaszcza wyplenić szczególnie uporczywych naleciałości w sposobie wyrażania się, lady Helster nauczyła przede wszystkim Chipette milczeć. Zachowywać milczenie w różnych okolicznościach wymagających delikatności i to bez głupiej miny, potrafić zamiast odpowiedzi uśmiechnąć się ze zrozumieniem lub spojrzeć mądrze błyszczącymi oczyma, to już jest sztuka. Posiadała tylko elementarne wykształcenie, lecz odpowiednio dobrana lektura dodała do jej wiadomości mnóstwo drobnych faktów, szczegółów, dotyczących obyczajowości i anegdot, które służą do urozmaicenia rozmowy.

Lady Helster przedstawiała ją swej rodzinie, hrabstwu de Saint - Selves i wszystkim znajomym jako przyjaciółkę ze swej sfery, a nie jako protegowaną. Młoda kobieta nabierała przeto najlepszych manier. Podczas herbatek i przyjęć przyzwyczajała się do wytwornego języka i trzy miesiące takiego życia wystarczyły by ją przeobrazić, jeśli nie w zupełności, to jednak dostatecznie, aby nie potrzebowała się obawiać popełnienia omyłek towarzyskich. Umiała przynajmniej we wszystkich okolicznościach zachowywać pozory. Wreszcie uprawiała rankiem sporty, nie dla rozrywki, lecz w określonym celu.

Gerard Pasquier bardzo się mylił, przypuszczając, że jego żona wróciła do swej matki i zajmowała się stosownymi do jej społecznego stanowiska sprawami. .

Chipette, podobnie jak księżna i baronet, nie wątpiła, że Pasquier wróci do Paryża, gdy zostanie wezwany do paryskiego oddziału banku.

List Gerarda, w którym zgłaszał dymisję i oznajmiał ponadto o rozwodzie, wywołał prawdziwe zdumienie.

Już wtedy można się było czegoś domyślać, ponieważ nie wiadomo jednak o obecności we Florencji Augusty Blanchot, sądzono, że po prostu Gerardowi coś nagle strzeliło do głowy.

Sir Edgar miał przypadkowo trochę czasu, a księżę de Foringham, powróciwszy z Berlina, zapragnął nacieszyć się słońcem; postanowiono zatem pojechać do Florencji, by - jak mówił baronet - zmyć głowę Gerardowi i olśnić go widokiem przeobrażonej żony.

Willa „Czerwonej Lili” kąpała się w lazurze, gdy Jocelyne przyjechała tam pewnego majowego poranka.

Tuż przy wejściu duża sala, ozdobiona liśćmi przez Ghirlendaja, które zbladły skutkiem wilgoci, przypominała grocie morską. Zamieszkiwał ją Tonio, dozorca pałacu, cierpiący na podagrę i przypominający swą krótką, białą brodą jakiegoś starego Trytona. Był to jednak Tryton z orszaku Neptuna lub Amfitrydy mający dobre maniery.

Ujrawszy księżnę, zawołał:

- Madonna! - A potem, patrząc na Jocelyne zastanowił się i rzekł po włosku: - Też Madonna... lecz przed dzieciątkiem.

Jocelyne nie rozumiała tych słów, lecz pełne uwielbienia spojrzenie dodało jej odwagi. Weszła do pałacu, wewnątrz przepięknie ozdobionego ściennymi malowidłami Pocetiego, del Sarta i Lippiego oraz przetykanymi złotem tkaninami z czasów Medyceuszów. Były tam meble mahoniowe i z kości słoniowej, stoły z mozaiki i wazy z gliny i terakoty Della Robbia.

Była zachwycona nie sypialnią, dużą, nieco uroczystą i dość ciemną, lecz przyległym salonem.

Nazywano go „zielonym”, gdyż ściany tej salki były kryte srebrną i niebiesko - zieloną wytłaczaną materią chińską. Umebłowanie w stylu cesarstwa pochodziło z czasów, gdy

Toskania została wielkim księstwem ze względu na słynną siostrę Napoleona, Elizę. Oparcie krzesel były w kształcie liry, zwyciężczyni podtrzymywały świeczniki, a na komodzie Jocelyne spostrzegła porcelanową grupę „Amora i Psyche” Canovy.

Po chwili zawołano ją na śniadanie.

Jadalnia była wykonana z białego i czarnego marmuru.

- Podoba się pani? - zapytał książę de Foringham, którego bawiły określenia Chipette

- Pierwszy raz - odparła z powagą - jem śniadanie na szachownicy.

Istotnie czarno - biała posadzka i kwadraty na ścianach przypominały znaną grę i zabrano się do jedzenia w dość wesołym nastroju.

Chipette spędziła popołudnie w ogrodzie pod łukami cisów i znalazła w głębi ukryte drzwi, obrośnięte bluszczem, które wychodziły na Viale dei Colli, słynną drogę, prowadzącą od florenckich wybrzeży do kościoła San Miniato, która wiła się wężowato wzdłuż zielonych dębów, włoskich sosen i oleandrów. Nie było to już niemiłe miasto, lecz urocza podmiejska dzielnica Florencji. Białe domy błyszcząły między gęstymi zaroślami azalii, glicynie zwiększały nad głównymi wejściami, każde okno miało swój krzak róży.

Jocelyne, nagle zachwycona, rozplakała się pod wieczór, gdy florenckie dzwony wzniosły ku fiołkoworóżowemu, jak hiacynty, niebu płynne dźwięki Ave Maria.

Była więc zdolna do wzruszeń, kiedy w restauracji, w której zjedli szybko obiad przed pójściem na koncert, zobaczyła zbierając się do wyjścia swego męża, siedzącego w pobliżu z Wilsonem.

Gdy przechodziła obok niego, mówił:

- Jutro rano, wujaszku, muszę pójść do Cascines...

Jocelyne, pociągnięta przez lady Helster, wyszła z restauracji, wstrząśnięta niespodzianym spotkaniem, podczas gdy księżna, nie wiedząc, że Gerard nie będzie sam w Cascines szeptała jej do ucha:

- My też tam jutro pójdziemy. Nieostrożnie wywołała w ten sposób zatarg.

Rozdział 9

Cascines są Laskiem Bulońskim Florencji.

Panie Blanchot, siedząc w fotelach, przypatrywały się przejeżdżającym jeźdźcom. Gerard dotrzymywał im towarzystwa.

Pierwszy raz przybyli tutaj wszyscy troje o jedenastej rano, by patrzeć na jeźdźców i Gerard był szczęśliwy, że dzięki gadatliwości pań mógł zachować milczenie.

Obecność Jocelyne w restauracji poprzedniego dnia wstrząsnęła nim do głębi. Zdziwiła go zmiana, jaka w niej zaszła. Nie czesała się już w figlarne loczki, a ondulacja nadawała jej twarzy dyskrecję kamei. Zaczynał się domyślać, że po jego wyjeździe z Paryża żona nie przebywała, jak sądził, przy ulicy Francs - Bourgeois. Cóż go jednak obchodziło, co się działo z Chipette, jeśli los miał go połączyć z inną kobietą?

Nie wspominał ani Augustie, ani jej matce o przyjeździe Chipette i Wilsona. Była to nieostrożność, gdyż mogli się nagle spotkać oko w oko. Lękał się jednak tego, jak Augusta zareaguje na tę nowinę.

Gerard, korzystając z tego, że pani Blanchot rozmawia z córką o modzie, wszedł w boczną aleję i powoli się oddalał... Jakie komplikacje rozwodowe powstaną z powodu obecności Chipette? Żona najwyraźniej przybyła w celu pogodzenia się z nim; będzie więc musiał się z nią zobaczyć, odebrać jej wszelkie związane z tym nadzieje i nakłonić ją do szybkiego przeprowadzenia rozwodu.

Kiedy się z nią zobaczy? Zapewne nazajutrz, w poniedziałek, na śniadaniu w pałacu Foringham. Pragnął możliwie najszybciej pertraktować z Jocelyne, a nawet walczyć z nią w razie potrzeby.

Gerard wracał do swego towarzystwa. Z daleka zobaczył, że młoda panna rozmawiała z ożywieniem z jakimś szatynem,

który siedział obok niej i którego Gerard zauważył w pensjonacie, w którym panie Blanchot zamieszkały.

- Ach! To ty! - powitała Gerarda zimno młoda panna. Nie zwrócił uwagi na jej chłód i odparł: .

- Sir Edgar przyjechał do Florencji.

Mógł być dodać z „moją żoną”, lecz nie, nie chciał o tym wspominać. Na dźwięk nazwiska sir Edgara Augusta ożywiła się i spontanicznie, z zapałem, zadziwiającym Gerarda, zapytała:

- Zażądałeś od niego odszkodowania?

- Za co? - zapytał, zaskoczony. - Wszak ja mu wypowiedziałem. Przyjął wprawdzie moje wypowiedzenie, lecz to on mógłby żądać ode mnie odszkodowania.

Ale Augusta z uporem kobiety nie znającej zwyczajów handlowych uczepiła się tej myśli i powtarzała: „On jest taki bogaty! On jest taki bogaty! Trzeba z tego skorzystać”.

Rozgniewany nieco jej chciwością i brakiem zrozumienia, wzruszył ramionami.

Na końcu alei zobaczył księcia, księżnę i Jocelyne, którzy w drodze powrotnej znowu mieli koło nich przejechać. W tejże chwili dotknięto jego ramienia. Odwrócił się i ujrzał młodego kolegę bankowego, Manfrediego, który zapraszał często panie Blanchot na wycieczki swym samochodem.

- Cóż, mój kochany, ochłonał pan już ze zdumienia, jakie wczoraj po południu sprawił panu nieoczekiwany przyjazd baroneta?

- Rzeczywiście, wcale się go nie spodziewałem - przyznał z uśmiechem Pasquier.

- Szofer sir Edgara powiedział mi - dosłownie - że pańska „pani” przyjechała z „małą”.

Szyderczy ton młodego Włocha w stosunku do Jocelyne nie uszedł uwagi Pasquiera. Dlatego, że nosiła jego nazwisko Gerard poczuł się nagłe urażony w swej męskiej godności.

Jocelyne przestała być dlań kobietą poślubioną przez omyłkę, której chciał się pozbyć. Dlatego, że była jeszcze panią Pasquier, że był mężem tej kobiety, odczuwał jako osobistą obrazę afront, jaki spotkał Jocelyne.

Te mieszane uczucia przewinęły się szybko w duszy młodego człowieka. Nie miał czasu ich zanalizować, lecz uległ silnie ich wpływowi i na widok zbliżających się Foringhamów z Jocelyne odrzekł z dumą i radością, wskazując dyskretnie młodą amazonkę:

- Dobrze pana poinformowano, to właśnie moja żona jedzie konno z księstwem de Foringham.

O ile od czasu ślubu Gerard zaznał wielu upokorzeń, to zyskał obecnie pełne zadośćuczynienie, ujrzawszy na twarzy Manfrediego wyraz osłupienia i podziwu. Włoch skłonił się tak nisko przejeżdżającym jeźdźcom, że nie mógł dojrzeć, czy pani Pasquier jego ukłon odwzajemniła.

Jeśli jednak warto było sfotografować minę Manfrediego, to wyraz twarzy Augusty był niemniej dobitny.

Była blada z wściekłości, kiedy Pasquier ją zauważył.

- Ach, to dlatego namówiłeś mnie, bym tu dziś z tobą przyszła? Jesteś gbur!

- Ależ ja nie wiedziałem, że Jocelyne jeździ konno, a zresztą, przypomnij sobie, Augusto, że to ty nalegałaś, byśmy się dziś wybrali do Cascines.

Na szczęście nawinał się powóz, do którego wsadził obie panie i odwiózł je do pensjonatu.

- Narażać mnie na taki afront, bym się spotkała z twoją stenotypistką!

- Proszę się tak nie wyrażać i nie zapominać, że Jocelyne jest moją żoną - odparł dotknięty do żywego Gerard.

- Och, jak pan to powiedział! Proszę od razu się przyznać, że chce mnie pan dla niej poświęcić, mnie, która wszystko dla

pana porzuciła, wszystkiego się wyrzekła! Czuję, że mnie zdradzasz.

- Ależ nic się między nami nie zmieniło.

- Lecz kiedy rozmówi się pan wreszcie z tą kobietą, która ma niby podać o rozwód? - zawołała nagle pani Blanchot, stając po stronie córki.

- Jutro - odrzekł. - Będę na śniadaniu w pałacu Foringham, gdzie ona zapewne mieszka i tam pomówimy.

- Będiesz na pewno wobec niej bezsilny i zrobi z tobą, co zechce. Lecz strzeż się! Potrafię się bronić, gdybyś uległ łzom tej idiotki!

Nazajutrz Gerard był bardzo zdenerwowany, kiedy wchodził około pierwszej w południe do pałacu Foringham.

Usiadł na końcu dużego stołu i stwierdził, że wśród obecnych były tylko dwie kobiety: jego żona i księżna. Po prawej stronie Jocelyne siedział prałat, monsignore Renier, biskup in partibus, a po lewej sir Edgar.

Z początku młody człowiek lękał się, czy Chipette nie będzie raziła swym zachowaniem w porównaniu z księżną.

Jego żona była w ciemnej sukni, bardzo skromnej, lecz doskonale skrojonej i podkreślającej gibkość jej kształtów. Z dość dużego dekoltu wyłaniała się biała szyja, pełna młodzieńczego uroku. Nienaganne uczesanie zmieniło ongiś łobuzerski wygląd: była podobna do małej Madonny... lecz takiej młodziutkiej z figlarnymi niekiedy spojrzeniami...

Od początku śniadania nie odzywała się zupełnie, pozostawiając głos znakomitym gościom i poprzestawała na domyślnym uśmiechu. Wreszcie zwrócono się wprost do niej i Gerard zadrżał. Co ona odpowie?

- Co pani powie o Florencji? - zapytał jeden z zaproszonych.

- Och! - odparła młoda kobieta. - Na pierwszy rzut oka to straszna pestka z kamienia, która mnie przeraziła, lecz tak jak

w pestce jest migdał, odkąd zwiedziłam kościoły Kopuły, Świętego Krzyża i Świętej Marii z Aniołkami, wiem, że ta twarda skorupa ukrywa piękne rzeczy.

I milcząc, przypominała sobie swe wrażenia...

Upewniwszy się już, że Chipette potrafi się odpowiednio zachować w towarzystwie, Gerard zastanawiał się nad tym, że przyrzekł Auguście, iż uzyska dziś od Jocelyne zgodę na rozwód. Za każdym razem, gdy spojrzał na żonę, ta odwracała głowę. Czuł jednak, że Jocelyne wpatruje się w niego, gdy rozmawia z sąsiadem przy stole. Wytrącało go to trochę z równowagi.

Zapomniał o Auguście i jej onegdajszej złości. Kiedy przeszedł do salonu na kawę, serce ścisnęło mu się jakąś obawą. Nie wiedział, czego się właściwie, lęka. Ktoś wspomniał o Gerardzie Pasquier, a wówczas biskup Renier przyjrzał się uważnie młodzieńcowi i, podszedłszy doń, odezwał się dobrotliwie:

- Czy pan jest mężem tej zachwycającej młodej kobiety?

- Owszem, monsignore - odparł młody człowiek.

W tejże chwili Jocelyne przechodziła koło biskupa, który wziął ją i Gerarda za ręce, połączył swymi starczymi palcami te dwie wrogie dłonie.

- Oto dobrze dobrana para. Założyłbym się, że pobraliście się niedawno? - powiedział po ojcowsku.

- Przed trzema miesiącami, monsignore.

- A więc jesteście tu niejako w podróży poślubnej - stwierdził prałat, nie domyślając się zupełnie, co zaszło między młodym małżeństwem. - Nie mogliście wybrać piękniejszego kraju dla nacieszenia się waszym szczęściem.

Rozwijał ten temat, opowiadając o tokańskich klasztorach pośród cyprysów i drzew oliwnych i o dolinach Umbrii, a jego stara ręka z pierścieniem biskupim więziła dłonie Jocelyne i Gerarda. Nigdy, nawet w dniu ślubu, nie byli tak długo

złączeni. Ręce nie godziły się jednak na tę niespodziankę. O ile palce Gerarda byty początkowo przez prostą grzeczność bierne, to palce Jocelyne od razu się skurczyły i usiłowały się wymknąć spod małżeńskiej władzy. Pasquier był urażony. Oczekiwał, że będą one raczej pieszczotliwe i łagodne, jakby błagały o uścisk. Ich bunt zirytował go w najwyższym stopniu, toteż trzymał dłoń żony w silnym uścisku.

- Jeśli państwo wybiorą się do Rzymu - zakończył biskup, uwalniając wreszcie wrogie ręce - pokażę wam nowe katakumby, niedostępne jeszcze dla publiczności.

Podziękowali mu serdecznie. Jocelyne ucałowała pierścień z ametystem i chciała się spieszenie oddalić, lecz Gerard zatrzymał ją.

- Jak tylko goście wyjdą, a już, jak pani widzi, zaczynają się żegnać, chciałbym z panią pomówić - rzekł krótko.

- Dobrze. Musimy się zresztą porozumieć - Im prędzej, tym lepiej - odrzekła nagle zmienionym głosem, unikając jego spojrzenia.

Zajęła się osobami, które rozmawiały jeszcze z ministrem. Wkrótce jednak minister i biskup Renier się pożegnali; księżę i baronet również wyszli. Gerard i Jocelyne pozostali sami.

Pasquier nie spuszczał od pewnego czasu wzroku z żony. Widział, że była nerwowa i zmieszana. Ta biedaczka mnie kocha - myślał. - Przyjechała tutaj dla mnie i Wilson postarał się, byśmy się rozmówili po tym śniadaniu, podczas którego istotnie mogłem stwierdzić, że jest teraz mnie godna. Lecz nie kocham jej. Moje serce należy do innej.

Przeraziła go nagle myśl, że za chwilę będzie zmuszony odtrącić miłość i prośby młodej kobiety, której nie miał zupełnie nic do zarzucenia i która nie będzie chciała z nim się rozejść.

Wychodząc z salonu Wilson szepnął Jocelyne do ucha: „Życzę powodzenia!”. Gerard słyszał jego słowa. W jaki

sposób zdoła nakłonić młodą kobietę, by zeń zrezygnowała? Jak dość łagodnie odsunie delikatne ramiona, które go obejmą? Ależ to była rola kata! Och, gdyby mógł zapobiec jej błaganiom, a przede wszystkim, zapobiec temu, by on sam nie uległ im z litości.

Nie wiedział, od czego zacząć, gdy Jocelyne wróciła doń, zamknąwszy starannie drzwi.

- Przyjechałam do Florencji tylko na dwanaście dni - powiedziała z prostotą. - Zaraz po powrocie do Paryża, czyli piątego czerwca, wniosę podanie o rozwód cywilny, a równocześnie zażądam unieważnienia naszego ślubu kościelnego. Wszak jesteśmy w tym względzie zgodni?

Ośłupiał.

- Nie spodziewałem się...

- Czego? Nie ma pan żadnych powodów, by żądać ode mnie rozwodu, natomiast ja przeciwnie. Zupełnie więc naturalne, że podejmę inicjatywę zerwania związku kościelnego i cywilnego.

Po czym nagle dumna i w niczym nie przypominająca kobiety, jaką znał dotychczas, dodała pogardliwie:

- Czyżby pan się obawiał, że będzie mi musiał płacić pensję? Nie zażądam żadnych pieniędzy, proszę się nie obawiać.

Potrząsnął głową, odzyskał zimną krew.

- Zdaje mi się, że mogła mi to pani napisać z Paryża. Czy mogę wiedzieć, dlaczego przybyła pani do Florencji?

- Miałam ważny powód.

- Nie widzę jednak przyczyny, dla której mój wuj zaaranżował nasze spotkanie, gdyż nie zaprzeczy pani chyba, że się o to postarał.

- Możliwe, lecz te sprawy są zbyt poważne, bym liczyła się z pragnieniami sir Edgara. Spojrzał na nią. Na purpurowym tle kotar, o które się opierała, wydawała się

bledsza, a jej poważna uroda onieśmielała. Milczące wrogo usta były okrągłe i czerwone jak pieczęć z laku, lecz niebieskawe rzęsy, uparcie przysłaniające oczy, drżały lekko i przypominały ruch skrzydeł uwięzionego ptaka. Gerard zaczynał rozumieć, co zaszło. Zapewne Wilson chciał pogodzić ich małżeństwo, a Jocelyne nie podzielała jego pragnień. Może zgodziła się przyjechać do Florencji tylko dla odbycia pięknej podróży? Wydało mu się to mało prawdopodobne. Raczej zamierzała po przyjeździe zobaczyć się z mężem i odzyskać go, a teraz dopiero się rozmyśliła. Jej uczucia zmieniły się nagle...

Czyż tak nie jest lepiej? Cóż by począł z miłością Jocelyne, gdy zaręczył się z inną kobietą i tę inną kochał? Przywiązanie żony wszystko by tylko skomplikowało stawiając go w trudnej sytuacji.

Dzięki Bogu był wolny, a decyzja Jocelyne wprawiała go w zachwyty!

Ale chciał wiedzieć, co właściwie zaszło.

- Bardzo się cieszę, kochana przyjaciółko - zapytał więc. - Wszak mogę tak do pani mówić, prawda? Cieszę się, że pani tak samo jak ja pragnie urządzić sobie inaczej życie. Życzę pani szczęścia w przyszłym związku małżeńskim...

- A ja panu z panną Augustą Blanchot - odparła, nie patrząc nań.

- Ach, widziała ją pani wczoraj rano w Cascines?

Spojrzała ze zdziwieniem.

- Nie, nawet nie wiedziałam, że była tam z panem. Ona sama doniosła mi o swej obecności we Florencji.

- Ona sama - powtórzył nie rozumiejąc.

- Poznaje pan jej pismo? - ciągnęła dalej młoda kobieta, wyjmując z torebki kopertę. - Och, jest dość charakterystyczne! Można by powiedzieć, że ta kobieta pisze kostką brukową!

Gerard mimo wzruszenia powstrzymał uśmiech, poznając jedno z malowniczych określeń Jocelyne. Jej uwaga była słuszna, gdyż pismo Augusty było jak bruk kwadratowe i równie ciężkie. Lecz czytając wręczony mu list Augusty, zapomniał o wszystkim ze zdumienia.

Jeśli pani przyjechała do Florencji w zamiarze odzyskania męża - pisała Augusta - to proszę przyjąć do wiadomości, że jest on moim narzeczonym i że nie dopuszczę, by pani nade mną triumfowała. Lepiej będzie dla pani nie stawać na mojej drodze. Jestem zdecydowana na wszystko, byle tylko go nie utracić.

Augusta Blanchot

- Ta dziewczyna jest szalona, jeśli mogła tak do pani napisać.

- Lecz jest jeszcze bardziej szalona, wyobrażając sobie, że chciałam pana odzyskać i że przed nią ustępuję. Dowiedźcie się przeto oboje, że wezwano mnie do Florencji na zawody w San Onofrio, które odbędą się trzeciego czerwca.

- Co to jest? - zapytał, nie rozumiejąc.

- Cóż to pana obchodzi! W każdym razie sędzę, że nie pozostaje nam nic innego, jak się pożegnać. Proszę się nie starać ze mną zobaczyć. Żegnam!

I zanim osłupiały Gerard spróbował ją zatrzymać, uciekła, obdarzywszy go spojrzeniem pełnym pogardy.

Pozostawiony sam w salonie, Pasquier wyszedł powoli do przedsionka... Wtedy Augusta brutalnie wyjawiała swą obecność, a Jocelyne nie ze strachu - wiedział, jaka była odważna, bo czyż nie broniła go kiedyś przed Wilsonem? - lecz gardząc walką, wycofała się... gorzej... wypędziła go!

Wyszedł z pałacu, nie spotkawszy nikogo prócz Tonia. Szedł przed siebie ze spuszczoną głową, przygnębiony...

Co powie Auguste? Czy będzie jej robił wyrzuty z powodu listu, jaki śmiała posłać Jocelynie? Czy powinien

jednak powiedzieć jej o tym? Zapewne kochała go szalenie, jeżeli tak postąpiła. Co chciała powiedzieć, pisząc: jestem zdecydowana na wszystko? Czy była zdolna posunąć się do gwałtu? Nie wierzył w to i nie lękał się tych pogroźek tak samo jak Chipette. Nie ulegało wątpliwości, że jego żona nie chciała walczyć, gdyż pogardzała Augustą, którą on niby kochał.

- Którą kocham! - powiedział półgłosem, jakby sam chciał się w tym utwierdzić. Jocelyne z pomocą Wilsona łatwiej da sobie radę w życiu od Augusty. Toteż do tej ostatniej powinien się zwrócić i to tym radośniej, że żona go zwolniła.

Gerard skierował się w stronę pensjonatu „Savoia”, w którym mieszkała pani Blanchot z córką.

Zapukał do drzwi saloniku.

- Jak było na śniadaniu? - zawołała Augusta na widok Gerarda.

Jest oczywiście ładna, ale jak można się tak jaskrawo ubierać! - pomyślał mimo woli.

Pierwszy raz Pasquier zauważył to, co wszystkim się rzucało w oczy. Nie ulega wątpliwości, że na jego zdanie wpłynęła wytworność i takt Jocelyne.

- Więc co się stało? - zapytała niecierpliwie Augusta. - Masz katastrofalną minę!

- Wszystko się dobrze składa, kochanie - zapewnił z lekkim wysiłkiem - gdyż żona zgadza się na rozwód...

- A co z pensją?

- Nie chce nic przyjąć.

Augusta klaskała w ręce i przywołała matkę.

- Nareszcie wszystko załatwione. Zmusił ją do poddania się. Zwyciężyliśmy! - oznajmiła.

- Proszę się tak nie wyrażać - powiedział butnie, przypominając sobie dumną postawę Jocelyne, która go wyrzuciła, a nie poddała się.

- Ponieważ nie śmiała ci się przeciwstawić - ciągnęła dalej Augusta, ożywiając się - powinieneś napędzić jej trochę strachu.

- Jak to? - wzdrygnął się Gerard. - Co przez to rozumiesz?

- Jeśli tak prędko ustąpiła, to zapewne zależy jej na odzyskaniu wolności. Postaraj się z nią zobaczyć i zagroź, że będziesz robił jej trudności, o ile nie uzyskasz od niej pewnych korzyści.

- Nie rozumiem zupełnie - powiedział Gerard, bardziej zaintrygowany niż urażony.

- Czy nie wspominałeś - mówiła dalej zniecierpliwiona Augusta - że sir Edgar posiada w Kairze domy? Jak one wyglądają?

- Są bardzo piękne i położone w starym parku. Każda willa jest zupełnie biała i stoi w cieniu olbrzymich palm. Leżą trochę na uboczu; z jednej strony widać stamtąd miasto z minaretami, a z drugiej pustynię i piramidy.

- Wcale nieźle to brzmi. Dobrze byłoby mieszkać tanio w jednym z tych domów. Uzyskaj to od tej Chipette.

Oburzony pretensjami panny Blanchot Gerard wybuchnął.

- Co za fantazje, Augusto! Jak możesz pomyśleć, że zażądam od mej eks-żony mieszkania na urządzenie w nim nowego ogniska domowego!

- Któż mówi o żądaniu od niej jakiejś przysługi? - powiedziała młoda dziewczyna, wzruszając dumnie ramionami. - To ty jej się przysłużysz, uwalniając ją szybko pod warunkiem jednak, że znajdziesz zaraz mieszkanie w Kairze. Wszak mówiłeś, że gdyby Wilson mógł pomóc, ułatwiłoby to wiele rzeczy. Zatem ona będzie pośredniczyła z własnej woli.

- Zapomnij o tym niestosownym planie - rzekł stanowczo Pasquier.

- Czy wiesz, mój kochany, że jesteś wprost brutalny - krzyknęła, zrywając się. - Wcale mnie to zresztą nie dziwi, gdyż już po trzech dniach mego pobytu we Florencji zrozumiałam, jak bardzo różnimy się charakterami. Krytykujesz wszystko, co mówię lub czynię. Zastanawiam się, czy rzeczywiście jesteśmy dla siebie odpowiedni!

Spojrzał na nią, zbity z tropu tą napaścią. Od pewnego czasu zaczął się domyślać, że nie są dla siebie stworzeni, lecz nie spodziewał się, że jego „dobra nowina” zostanie tak przyjęta.

- Oznajmiasz mi o odzyskaniu swobody z niemożliwym wyrazem twarzy. Hiszpan nie oszczędłby się tak nieuprzejmie z narzeczoną!

- Co przez to rozumiesz?

- Że mam dość twoich matactw - zawołała podniecona panna. - Bądźmy weseli i uczcijmy ten piękny dzień! Gerardzie, zamów na dziś wieczór bilety do teatru. Musimy się rozerwać.

- Słusznie - powiedział z głuchą wściekłością - musimy się rozerwać. Idę do teatru. Do widzenia.

I wyszedł pośpiesznie, walcząc z chęcią, by nie trzasnąć drzwiami.

Rozdział 10

Pałac Foringham znany był we Florencji pod nazwą Pałacu Elizy, gdyż zamieszkiwała go ongiś wielka księżna Eliza, siostra Napoleona. Lady Helster zajmowała okazałą sypialnię i niebieską marmurową łazienkę ze słynną w całym mieście wanną wykładaną złotą mozaiką.

W Pałacu Elizy wrzało obecnie, gdyż lady Helster urządzała bal maskowy. Ponieważ zamierzała rychło wyjechać z Florencji, należałoby szybko wykonać kostiumy, z drugiej zaś strony zaproszeni florentczycy, jakkolwiek byli ludźmi dystygowanymi, posiadali więcej tytułów niż pieniędzy, postanowiono więc, iż wszyscy będą w dominach i że będzie to właściwie bal „głów”.

- To ułatwia całą sprawę - mówiła Chipette - a oszczędne kobiety będą mogły uszyć sobie potem z domina pizamy. Gdyby nie miały, pieniędzy nawet na materiał, mogą się udrapować w jakąś firankę ze swych historycznych salonów!

Troska o odpowiednie dobranie „głowy” zajmowała ogromnie umysły. Każdy pytał Chipette o radę w tej kwestii, gdyż wierzono w jej trafny sąd.

- Księżna powinna mieć duży kołnierz a la Medicis - mówiła Chipette z zapalem - a w pięknych blond włosach koronę francuską, Marii, żony Ludwika XIII. Co do księcia, który ma rysy Rzymianina, mogę go sobie doskonale wyobrazić w hełmie Pensierosa Michała Anioła.

- A mnie? - zapytał Wilson.

- Jako wielkiego inkwizytora w czerwonym dominie i czarnej masce. Tonie mógłby przyjmować gości w niebiesko - zielonym dominie, z trójzębem Neptuna w ręku. Jest zresztą sam trójzębny; gdyż ma tylko trzy przednie zęby!

- A ty, małeństwo, jaką sobie umyśliłaś „głowę”?

- Miałam szaloną ochotę dla oszczędzenia kosztów zdecydować się na głowę Nike z Samotraki...

- Która jej nie ma! - zawołał książę.

- Właśnie, szalona oszczędność! Nie czuję się jednak na siłach. A ponieważ wujaszek ofiarował mi jasne domino, włożę czarny aksamitny kapelusz, długą koronkę i będę weneccjanką.

Sir Edgar, pozostawszy z księżną, rozpoczął rozmowę.

- Nasza ptaszynka wydaje się zadowolona. Czy jest jednak zupełnie szczerą?

- No, myślę - odparła lady Helster. - Rano zajmuje się sportem, po południu przygotowaniami, wieczorem zabieramy ją do teatru, więc nie ma nawet czasu myśleć o swym niewiernym mężu.

- Tak, niewiernym, gdyż nasze nadzieje zawiodły, kochana przyjaciółko, a przecie Jocelyne jest taka rozkoszna!

- I taka dzielna!

Stary Anglik westchnął. Nie mógł pojąć, że można się było oprzeć urokowi tego ślicznego dziecka, które zdobyło jego serce niewzruszonego finansisty, który nikogo dotąd prawdziwie nie kochał, a teraz tak żywo się interesował tą małą, niestety, znacznie dłań za młodą, kobietką.

Niech pan o tym nie myśli - miała ochotę powiedzieć mu łagodnie księżna.

Lecz, jakby czytając w jej myślach, Anglik rzekł:

- Czy wiesz, kochana księżno, że mężczyzna poznaje w swym życiu zazwyczaj trzy kategorie miłości? Mając szesnaście lat, zachwyca się kilkoma bardzo pięknymi kobietami, które oczywiście nie zwracają nań uwagi. Cierpi z tego powodu, lecz pociesza się tym, że wkrótce te istoty będą go czule kochały. Jest to słodkie uczucie „spodziewanej miłości”, jakkolwiek nie ma ono ujścia. Mając trzydziestkę, bardzo często mężczyzną kocha i jest kochany. To „miłość zrealizowana”. Lecz, starzejąc się, spotyka wymarzone istoty, niestety, dłań za młode. Wówczas wie, że one nie mogą go

nigdy pokochać, a z tą pewnością nie łączy się nadzieja odwetu, jak u szesnastoletniego młodzieńca, lecz przekonanie, że stopniowo czułości się odeń oddalą. To „miłość ubolewań”... taka melancholijna.

- Cicho, nie chcę o tym słyszeć, proszę mi raczej powiedzieć, co się dzieje z Gerardem.

- Nic nie wiem, gdyż, oburzony jego zachowaniem, zwolniłem go z pracy w banku. Zapewne przygotowuje się do wyjazdu do Kairu; w każdym razie wiem, że urządza codziennie wycieczki samochodem z tamtą przekłątą dziewczyną. Ale nie mówmy już o nim, bo wszystko się we mnie gotuje!

Gerard istotnie jeździł wiele samochodem z paniami Blanchot; wynajął od Manfrediego małe auto i często we trójkę wyjeżdżali już wcześniej rano w cudowne okolice Toskanii.

Spotykali czasem rano Jocelyne, która kierowała wyścigowym samochodem Bugatti. Wyłaniała się za nimi cicho, mijala ich i prześcigała z szybkością podróznego gołębia, dystansującego zwyczajne wróble. Za każdym razem Augusta była obrażona i twierdziła, że ta Chipette miała ochotę zepchnąć ich do rowu!

- Albo uciec od nas - mówił pojednawczo choć z goryczą Pasquier. Gdyż te spotkania i jakby umyślne ucieczki były dlań przykre.

Pewnego popołudnia, kiedy przejeżdżali pustym jarem, Augusta poleciła mu zatrzymać samochód i wyjęła nagle z torebki rewolwer.

- Na kogo? - zapytał ironicznie Gerard.

- Na ciebie, jeśli będzie trzeba - odparła młoda panna zupełnie spokojnie. Lecz po chwili zaśmiała się.

- Kupiłam go okazji, gdyż uważam, że kobieta powinna umieć obchodzić się z bronią, zwłaszcza, gdy się

mieszka w Egipcie... - rzekła by złagodzić wrażenie poprzednich słów.

- Słusznie - przyznał Pasquier.

- Strzelam doskonale i wypróbuję tę zabawkę, celując w te cyprysy.

Gerard przekonał się, że istotnie dobrze strzela. Pomyślał, że Augusta mogła stać się w pewnych okolicznościach niebezpieczna...

- Manfredi opowiadał mi, że księżna de Foringham urządza w przyszły wtorek wielki bal maskowy - powiedziała nagle Augusta, zmieniając temat.

- Owszem, cała Florencja o tym mówi. Chyba nie myślisz o tym, żeby tam pójść - rzekł, drgnąwszy mimo woli.

- Uważam, że byłoby to bardzo pikantne.

- Czyżbyś mogła narażać się na to, że cię rozpoznają i zrobią ci afront?

- Ależ nie poznają mnie, bo będę w masce.

- Czyż nie wiesz, że na tego rodzaju zabawach jest przyjęte zdejmowanie masek?

- Lecz można intrygować, nie zdejmując ich.

- Jeśli uparłaś się w głupi sposób pójść na ten bal, to pójdziesz ze mną i z matką.

- Widzisz - rzekła Augusta do matki, po odejściu Gerarda - zaraz mi ustąpił. Kiedy wyjdę za niego, poskromię go zupełnie.

Gerard wyszedł oczywiście wściekły. Lecz, wróciwszy do domu, ujrzał na swym łóżku pudło. Było w nim czarne aksamitne domino, gdyż młodzieniec również powziął „głupi” plan pójścia na ten bal...

W wielkiej sali Pałacu Elizy kariatydy Benvenuto Celliniego, boginie, malowane na suficie przez Piotra da Cortona, empirowe świeczniki z czasów wielkiej księżnej,

wszystkie te rzeczy, które „widzą”, przypatrywały się pstremu tłumowi, tańczącemu pod kandelabrami Murana.

Domina ujednostajniały nieco tłum tańczących, lecz „głowy” świadczyły o zmyśle spostrzegawczym lub fantazji. Widziało się sędziów w wielkich perukach i z młotkami; markizów z harcapami; Elżbiety angielskie i cesarzowe Józefiny. Prokonsul rzymski chodził z dość pospolitą Hiszpanką, jak z „przedmieścia Triana”, a toreador w trójkątnym kapeluszu nie opuszczał jakiejś Rosjanki w białym diademie.

Panie Blanchot i Gerard wyglądali w czarnych atlasowych dominach jak sędziowie piekieł, którzy przybyli incognito.

Lady Helster była bez maski. Jej domino, całe ze złotych cekinów, przypominało słońce i Augusta, która chciała koniecznie oczernić Chipette, zachwycała się elegancją księżny, której wdzięku ani urody nie potrzebowała się lękać.

Lecz Chipette, którą przysłała umyślnie zobaczyć, pozostawała niewidzialna i Gerard zaczynał się zastanawiać, czy w ogóle będzie na balu...

Pragnął, by pani Blanchot, przypatrzywszy się zabawie, opuściły jak najprędzej pałac. Zamierzał je odprowadzić i wrócić sam. W jakim celu? Nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć, wiedział tylko, że nie będzie rozmawiał z żoną ani się do niej nie zbliży. Nie mając określonego planu, chciał być na balu, a przede wszystkim nie słuchać ironicznych uwag Augusty o Jocelyne.

Pani Blanchot byłaby się chętnie rozpływała nad bogactwem pewnych domin, lecz przypominając sobie, jak w Cascines wychwalała rywalkę swej córki, nie śmiała już nic powiedzieć.

Bal rozpoczął się; orkiestra grała nie tylko fokstroty i tanga, lecz dawne walce w namiętym i szybkim rytmie.

Powoli uczestnicy zdejmowali maski i dostrzegano się „całą Florencję”.

Gerard wszedłszy do wielkiej sali, szukał wzrokiem żony i nagle poznał ją w niebieskim dominie przybranym fajetkami, które rzucały na nią jakby blask księżyca. Jej twarz, otoczona czarnym aksamitnym kapeluszem z koronką, wydawała się jeszcze mniejsza niż zazwyczaj i delikatna jak kamea.

Tańczyła z najwytworniejszymi arystokratami włoskimi i słyszał jej śmiech, gdy przechodziła koło niego z księciem Dorghese. Gerard, którego nie mogła poznać w przebraniu, widział, jak książę obejmuje jego żonę i nagle zapragnął koniecznie zatańczyć z nią; raz w życiu, zanim opuści ją na zawsze, chciał ją trzymać w ramionach, czuć, że się poddaje i widzieć tuż przy swych ustach małe, różowe uszko, wyłaniające się ze złocistobrązowych fal ondulacji...

Lecz Jocelyne była otoczona nowymi tancerzami i panna Blanchot wyrwała go z zamyślenia.

Nie chcąc zdjąć maski, trzymał się na uboczu, by nie zwracać uwagi i musiał znosić rozmowę Augusty i jej matki. Obie kobiety, nie mogąc nic zarzucić Chipette, przestały o niej mówić, a Gerard od czasu do czasu widział żonę w towarzystwie złotej młodzieży florenckiej. Wszyscy prawili jej zapewne komplementy, zachwyceni jej wdziękiem kolki o dużych, niewinnych oczach.

W pewnej chwili młody książę Dorghese znalazł się z jakimś przyjacielem w pobliżu Gerarda, który usłyszał ich rozmowę.

- Ta mała pani Pasquier posiada prawdziwy dowcip paryżanki - mówił książę. - Potrafiła w kilku na pozór niewinnych słowach dać nauczkę temu staremu markizowi della Cabbia, który ciągle uważa się za Don Juana i jest taki bezczelny w stosunku do kobiet.

- Opowiedz, jak to było, nie cierpię Cabbii.

- Kto go lubi? Przedwczoraj poprosił w teatrze, by go przedstawiono pani Pasquier. Mimo że utyka i ma łysinę, jest na dodatek zarozumiały. Pewny powodzenia, ośmielił się jej powiedzieć: „Och, pani oczy świecą się na mój widok! Jestem pewien” - dodał - „że odgaduję pani myśli!”

- I cóż ona odpowiedziała?

- „Doprawdy, czyta pan w moich myślach? Dobrze, że pan nie jest wrażliwy”.

- Świetnie! Stary Don Juan zapewne się zmieszał.

- Oczywiście.

Przypatrywał się Chipette otoczonej rojem wielbicieli, których umiała trzymać na dystans, nie dzięki wychowaniu, lecz wrodzonemu taktowi. Jakże inaczej zachowywała się w podobnych okolicznościach Augusta, która traciła głowę i, upojona próżnością, pozwalała na pożałowania godne poufałości. Gerardowi podobała się znacznie bardziej powaga Jocelyne niż kokieteria; nie mógł się oprzeć myśli, że byłaby doskonałą żoną... Czyż go jednak nie wyrzuciła, nie odtrącała z pogardą?

Zapragnął, jak nigdy, wziąć w objęcia kobietę, która nie będzie jego żoną.

- Idziemy? - usłyszał niezadowolony głos Augusty, która, nie mając co krytykować chciała odejść z balu.

W tejże chwili ujrzał w pobliżu Jocelyne, która chwilowo uwolniła się od wielbicieli. Orkiestra zaczęła grać tango. Tancerz, który zamówił ten taniec u pani Pasquier, zapewne nie mógł jej znaleźć, gdyż nie stawił się. Gerard nie wahał się dłużej i rzucił się na młodą kobietę z gwałtownością, niedopuszczalną na tak wytwornej zabawie. Chwycił ją w ramiona bez pytania, bez żadnej prośby i zaczął tańczyć.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Chipette, nie domyślając się niczego, nie stawiała zupełnie oporu;

znalazłszy się w objęciach nieznajomego, który nie zdjął maski, przełękła się i wyprostowała.

- Ten taniec mam już zajęty, proszę pana. Zatańczę z panem innym razem - powiedziała lecz zamilkła, sądząc, że to zapewne jakiś Włoch, nie rozumiejący po francusku.

Może w tym kraju było przyjęte tańczyć z kobietą, której się nie zostało przedstawionym Dotychczas jej tancerze zachowywali się jednak uprzejmiej i Chipette uważała, że mężczyzna w dominie, unoszący ją po sali, postępuje wbrew wszelkim konwenansom.

Ale ponieważ to nie mogło trwać długo i nic złego jej nie groziło w obecności pięciuset osób, nawet gdyby jej tancerz był intruzem, Jocelyne pomyślała, czy właściwie ona nie uchybiłaby konwenansom, gdyby zrobiła awanturę? Poczucie taktu radziło jej nic nie mówić i zadawała się tym, że była zupełnie sztywna i trzymała się możliwie daleko od tancerza.

Nie przychodziło jej to łatwo, gdyż Gerard był ogromnie podniecony, czując pod jasnym dominem delikatną sylwetkę. W tańcu bezwiednie zbliżała złotą główkę ku ustom Pasquiera, który musiał się powstrzymać, by nie ucałować koniuszka jej ucha przypominającego różowawą muszlę.

Nie zastanawiał się, czym jest jego miłość do Augusty i pociąg ku Jocelyne. Bezmyślnie ulegał nieprzepartemu urokowi i bezwiednie przytulił ją tak silnie, że zaprotestowała z oburzeniem:

- Proszę mnie puścić, bo inaczej wezwę pomocy!

Przełękła się nagle tego nieznajomego w masce. Lecz on rzekł cicho:

- Proszę się nie obawiać, to ja, Gerard.

Usłyszawszy niespodzianie jego imię, drgnęła tak gwałtownie, że omal nie wysunęła się mu z ramion. Lecz podtrzymał ją, gdy zesztyniała.

- Czy pan oszalał? Proszę mnie natychmiast puścić! - rzekła stłumionym głosem.

- Nie!

- Niech pan stąd wyjdzie!

- Nie chcę!

- Więc woli pan, bym kazała pana wyrzucić lokajom?

Czuła palący oddech Gerarda, gdy mężczyzna mówił jej do ucha:

- Chce się pani ośmieszyć, każąc służbie wyrzucić własnego męża?

Ponieważ pierwsza część tanga się skończyła, zatrzymali się w rogu salonu. Młody człowiek nie rozluźnił jednak uścisku, a gdy tango zabrzmiało ponownie, pociągnął ją wbrew jej woli do tańca.

- Czy nie wiesz, moja kochana, że nie wypada załatwiać kłótni małżeńskich w towarzystwie? Wzięto by pani bardzo za złe, gdyby pani mi zrobiła scenę publicznie.

- A jeśli pana poproszę, by pan odszedł, usłucha mnie pan? - Nie!

- Dlaczego pan się tak upiera?

Nie odpowiedział, lecz tańcząc wciągnął ją do bocznej sali, w której drzemało kilka starszych pań, a gdy usiłowała oponować, uczuła, że Gerard otula ją nagle w swe domino; na jej twarz spadł grad pocałunków, które nie oszczędzając jej oczu, pograżyły ją w ciemność, w której nie mogła nawet krzyknąć. Uczuła na ustach ciężące jak rozkaz usta męża.

Przerażona, podniosła powieki. Gerard zdjął maskę i oczy tancerzy spotkały się. Nigdy w życiu nie widziała ich tak blisko i w półmroku dostrzegła w nich błysk namiętności, drżenie długich rzęs i tyle rozpaczy, że zwyciężona i zalękniona Jocelyne przymknęła powieki...

Tango przesyłało ku nim jakby muzykalny obłok lub melodyjną mgłę. W głowie jej się kręciło, gdy nagle uczuła, że

ją odtrącono, postawiono na nogi i z hałasu otaczających głosów domyśliła się, że tango skończone i że pary wracają do salonu.

Tym razem Gerard musiał ją uwolnić. Wówczas pośpiesznie, ulegając impulsowi, rzuciła:

- Żegnam! - i zniknęła w tłumie.

Nie starał się jej powstrzymać. Oparty o bibliotekę, był tak wyczerpany, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co czuł przed chwilą, ani z tego, co czuje teraz...

Machinalnie włożył maskę by ukryć swą bladość; ktoś pociągnął go za rękaw i, odwróciwszy się, zobaczył panią Blanchot. Najpierw nie poznał jej nawet, tak był zamyślony.

- Proszę zająć się Augustą i nie pozostawiać jej tak samej... - powiedziała z niepokojem starsza pani.

Spojrzał w stronę sali herbowej, w której przedtem siedzieli i drgnął. Panna Blanchot zbliżała się ku nim z miną obrażonej królowej.

- Jak pan śmiał tańczyć z Chipette? Nie pomyślał pan, że to dla mnie obraza? Nie, proszę nic nie mówić i nie starać się usprawiedliwiać. Zachowuje się pan poniżej wszelkiej krytyki i nie uda się panu zmusić mnie do milczenia.

Podnosiła głos coraz bardziej mimo zakłopotania Gerarda, który daremnie usiłował ją wyprowadzić z sali.

Domyślał się, że Augusta jest niezwykle zagniewana. Może widziała, jak całował Jocelyne. Była zdolna urządzić z wściekłości awanturę wobec wszystkich; zawstydził się, widząc, że ludzie gromadzą się wokół nich. Od pewnego czasu zastanawiano się, co to za domina, które nie zdjęły masek. Początkowo myślano, że to jakiś żart, lecz teraz zaczęto się niepokoić. Maitre d'hotel mógł ich wyrzucić z pałacu, jak to Jocelyne zapowiedziała! Lecz jak zamknąć usta Augustcie i zapobiec jej atakowi nerwowemu?

- Wróc do niej, mój kochany, jeśli chcesz - mówiła - zostaw mnie znowu, by się do niej zalecać!

Gerard, nie mając innego wyjścia, okłamał bez żadnych skrępowań rozwścieczoną Augustę.

- Powiedziałem jej o tym domu w Kairze, namawiałem ją, by pomówiła z Wilsonem... Augusta ochłonęła natychmiast z gniewu i zdołał ją pociągnąć ku drzwiom wejściowym.

- Czy powiedziała - pytała z zadziwiającą poządlwością - że możemy liczyć na ten dom?

- Spodziewam się, że uzyskam od niej przychylną odpowiedź, o ile będę jeszcze mógł z nią pomówić - odparł Gerard, zdumiony swą zręcznością.

- Czy mówiliście coś o pensji? Czy Wilson mógłby dać jakieś odszkodowanie, które pokryłoby koszty podróży?

- Owszem... owszem... oczywiście - powiedział machinalnie.

- Och wiem, jaki jesteś roztargniony! Jeśli ją zobaczysz, nie zapomnij o trzech najważniejszych rzeczach. Masz przy sobie może jakiś notes i ołówek?

- Tak - odparł, podając jej to, czego żądała, zachwycony jej spokojem i uradowany ogromnie, że zgadza się, by zobaczył jeszcze raz Jocelyne.

Powodzenie jego podstępu zdumiewało go. Chytróść zaślepiła zupełnie Augustę. Nie wahała się dla zysku odesłać go do rywalki. A może uważała w swej dumie, że nikt nie jest w stanie jej zastąpić? Napisała coś na karteczce, którą mu włożyła do kieszeni smokinga, mówiąc:

- Zanim z nią pomówisz, przeczytaj dobrze tę listę.

- Bądź spokojna, kochana Augusto; po upływie godziny uzyskam od niej wszystko, czego chcemy. Lecz proszę cię bardzo, idź z matką do restauracji francuskiej, gdzie mam zamówiony stół, i zjedz kolację, nie czekając na mnie.

- Dobrze - odparła Augusta - ale wracaj prędko do nas.

Pomógł obu paniom usadowić się w powozie, a gdy odjechały, ku własnemu zdziwieniu odetchnął z niezmierną ulgą...

Wrócił natychmiast na salę balową. Nie było tam jednak nikogo, gdyż goście byli na galerii przy kolacji. Gerard, ukrywając się za portierą, przyjrzał się biesiadnikom i zauważył szybko, że między nimi nie ma jego żony.

Gdzie była?

Jocelyne zniknęła.

Pani Pasquier istotnie uciekła z balu.

Przykra i gwałtowna scena z mężem oszołomiła ją. Zaprażyła wymknąć się z tłumu i uspokoić w ciszy swej sypialni. Usprawiedliwiła się nagłym bólem głowy, a jej twarz była tak zmęczona i blada, że księżna sama radziła Chipette, aby trochę wypoczęła.

- Przyślę moją pokojówkę, by czuwała przy tobie - powiedziała. - Spodziewam się, że po kolacji będziesz mogła się znowu pokazać.

Młoda kobieta wróciła do swego pokoju, lecz nie chciała korzystać z usług służącej. Pragnęła pozostać sama, by przypomnieć sobie nieprawdopodobną chwilę przeżytą z Gerardem i zanalizować sprzeczne uczucia, które ją podniecały i torturowały. Była tak wstrząśnięta, że drżała zdejmując domino, lecz potem oburzenie ją otrzeźwiło. Jak on mógł być tak zuchwały i tak z nią śmiało postąpić, skoro wszędzie się afiszował z inną kobietą! Jak mógł ją całować, jeśli widział wyraźnie, że ona się na to nie godzi! Skorzystał z jej obawy przed wywołaniem skandalu, by obejść się z nią podle, bez najmniejszego szacunku!

- Nędznik, nędznik! - powtarzała.

Rzuciła się z płaczem na poduszki. Początkowo szlochała gwałtownie, potem łzy jej płynęły spokojniej, rozpaczliwie,

podczas gdy do jej uszu dochodziły osłabione dźwięki orkiestry, która przygrywała do kolacji.

Mimo płaczu poznała czystą i rozdzierającą melodię odjazdu Lohengrina:

..mój ukochany łabędziu...

Ona też zegnała istotę, której krzywdy usiłowała zapomnieć i pod wpływem namiętnego czaru muzyki, pragnęła tylko pamiętać niewypowiedziane chwile, jakich dzięki niemu zaznała...

Chciała zapomnieć o zuchwałości Gerarda. Czuła, że dziś wieczorem, pod wpływem jego pocałunków topniała jak wosk. Więc nie budził w niej wstrętu, jak twierdziła? Może źle zrobiła, odtrącając go. Lecz nie, zło polegało na tym, że ciągle go jeszcze kochała, chociaż wobec księżnej i sir Edgara udawała, że jej na Gerardzie nic nie zależy. Nie potrafiła w żaden sposób pokryć frywolnością miłości do męża. Jaki on był piękny przed chwilą, gdy nachylony nad nią wpatrywał się w nią błyszczącym, namiętym wzrokiem. Dlaczego tak postąpił? Jakie uczucie nim powodowało? Żal, miłość, czy po prostu rozpusta?

Nagle drgnęła. Ktoś chodził po zielonym salonie. Czy była to pokojówka? Zawołała ją po imieniu. Nie otrzymała, odpowiedzi, lecz zdawało jej się, że ktoś przesunął w ciemności krzesło. Ponieważ jednak w starym pałacu trzeszczały często boazerie, młoda kobieta przypuszczała, że się omyliła i zaczęła znowu rozmyślać o Gerardzie, zadając sobie pytanie, co mogło go skłonić do zbliżenia się do niej, gdy znowu usłyszała hałas w sąsiednim pokoju.

Nie, nie mogła dłużej wątpić: ktoś chodził po zielonym salonie... ruszał klamką. Och gdyby to był on! A może to jakiś złodziej chce się dostać do opuszczonych w jego mniemaniu pokoi? Ujrzała poruszającą się klamkę. Kto się ukaze? Może człowiek z trupią głową lub owo domino niosące głowę pod

pachą? Przestraszona, chciała wzywać pomocy, lecz w tejże chwili zapukano do drzwi wychodzących na korytarz i gdy zawołała: „Proszę wejść!”, do pokoju wpadła pokojówka i dwóch służących.

- Proszę nam wybaczyć - rzekła pokojówka - lecz ktoś wtargnął do pani pokoi... zdawało nam się, że widzieliśmy jakąś sylwetkę...

- I mnie się tak zdaje - odpowiedziała drżącym głosem Jocelyne. - Zapewne jest w salonie. Lecz klamka się już nie porusza.

Włożywszy biały szlafroczek, weszła ze służbą do salonu...

Na pierwszy rzut oka pokój wydawał się pusty. Nieznajomy zapewne się ukrył.

Służba zawahała się, bojąc się jakiegoś ataku, gdy nagle ukazał się Gerard w smokingu.

- Przykro mi, że zaszła omyłka i że moja żona się przestraszyła. Jestem Gerard Pasquier - powiedział bardzo spokojnie.

Lecz służba już się cofała, przepraszając.

- Och, poznamy pana, oczywiście. Proszę nam wybaczyć. Lękaliśmy się, by... jest tu dziś tyle ludzi, że...

- Bardzo dobrze, że jesteście tacy ostrożni. Możecie już teraz spokojnie odejść. Wychodzili, śmiejąc się, ubawieni tym, że wzięli męża młodej Francuzki za włamywacza.

Jocelyne i Gerard pozostali sami.

Więc był to on, jak myślała... spodziewała się... i wtargnął tu, by się z nią zobaczyć.

- Ma pan dziwny sposób narzucania mi swojej obecności. Proszę mnie natychmiast od niej uwolnić - powiedziała krótko i może nawet bardziej sucho, niż chciała.

Zamiast odpowiedzi zamknął na klucz prowadzące na korytarz drzwi. Zadrżała.

- Co pan robi? Więc zamierza mnie pan w ten sposób zmusić do wysłuchania pana? Proszę się nie zbliżać, bo zadzwonię na służbę!

- Kaze mnie pani wyrzucić? - zaśmiał się drwiąco. - Wszak widziała pani, że służba odeszła, gdyż wie doskonale, że mąż ma prawo, a nawet obowiązek być przy żonie...

- Za jej zgodą!

- Nawet bez jej zgody, o ile uważa, że musi się z nią rozmówić, by wyjaśnić pewne rzeczy.

- Jakie? Pan urządził sobie życie na swój sposób, więc ja też tak zrobię.

- Ach! Ma pani jakieś plany? - zapytał, doznawszy nagle ukłucia w serce.

- Oczywiście.

- Prawdopodobnie wyjdzie pani znowu za mąż?

- Niech mię Bóg broni! Nie, będę zarabiała na życie.

- Tak, pani jest odważna!

- Tylko bez komplementów, dobrze? Zdaje mi się, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Patrzył na nią uważnie i miał wrażenie, że w białej tkaninie otulającej jej smukłe kształty wyglądała jak mała syrena wyłaniająca się z piany morskiej.

- Rozstaniemy się niebawem na zawsze, Jocelyne - rzekł cicho. - Pomówmy więc z sobą... przyjaźnie.

- Nie mogę - odparła, spuszczać na oczy obolałe powieki i myśląc, że nie potrafiłaby być przyjaciółką ukochanego człowieka, który kocha inną.

- Więc pomówmy spokojnie - ciągnął dalej. - Proszę usiąść na kanapce, a ja usiądę naprzeciwko w fotelu. Czy pani się mnie lęka? Ależ wyglądamy jak stare, spokojne małżeństwo.

Usiadłszy na kanapie wzruszyła ramionami.

- I cóż?

- Jocelyne - zaczął - czy nie sądzi pani, że między nami zaszło jakieś straszne nieporozumienie?

- A kto je stworzył?

- Ja...

- I ja też - powiedziała po chwili wahania - gdyż początkowo zbyt wiele rzeczy nas dzieliło. I przebaczyłabym panu chętnie pana zachowanie... w dniu ślubu... gdybym nie wiedziała, że pana niecierpliwość i okrucieństwo były wywołane miłością ku... pannie Blanchot.

- Nie mogę temu zaprzeczyć.

- Dziękuję za szczerość - rzekła z uśmiechem. - Przypuszczam jednak, że dostał się pan tu najpierw podstępem, a potem powołując się na prawa męża, nie tylko po to, by „po przyjacielsku” bawić mnie rozmową o pana namiętności ku tamtej dziewczynie?

Z akcentu i drżenia głosu domyślił się, że jest zazdrosna, więc on nie jest jej obojętny. I nagle, nie zastanawiając się nad tym, usiadł przy niej na kanapce.

- Czy jest pani pewna, że kocham Augustę? - mówił stłumionym głosem. - Czy nie posiada pani tej dystynkcji, która początkowo mnie ku niej pociągała? To, co mnie w pani raziło, zniknęło; zrzuciła pani swą dziewczęcą sukienkę i stała się wykwinłą kobietą. Tak, wykwinłą. Myślę o tym ciągle... odkąd ujrzałem panią pierwszego wieczoru we Florencji w restauracji taką poważną i słodką, z dużymi, pełnymi wyrazu oczyma...

- Zamilcz pan! - powiedziała słabym głosem, wtulając się w róg kanapki. Lecz zbliżył się do niej i otoczył ją ramieniem. Drżała i nie miała siły uciec...

- A podczas śniadania... na cześć ministra - ciągnął dalej - podziwiałem pani dowcip, wdziek i nawet tę poważną czarną suknię, która podkreślała jeszcze pani olśniewającą młodość. A po śniadaniu, gdy kardynał złączył nasze ręce, Jocelyne...

zdawało mi się, że twe ręce drżały w mych dłoniach i musiałem się wstrzymać, by ich nie uścisnąć i nie poprosić pralata wobec wszystkich o ponowne uświęcenie naszego związku...

- Pan też? - rzekła cicho.

- Ach! Więc czułaś to samo? - zapytał półgłosem. - Czułaś, że mimo wszystko łączy nas i wzajemnie pociąga sakrament. A dziś wieczór, dziś wieczór...

Tulił ją w objęciach.

Ogarnęła ją niewysłowiona rozkosz. Tym razem oburzenie nie skłoniło jej do cofnięcia się jak na balu, nie lękała się, by ktoś mógł nadejść. Mogła, „powinna” nawet była się poddać rozkoszy. Nie chciała się opierać, pragnęła, by ten piękny, pochylony nad nią młodzieniec, jej ukochany, jej mąż, kochał ją!

Blady, oszalały, szeptał jej do ucha:

- Przebacz mi, błagam, mała syreno, wyłaniająca się z piany morskiej!

Osunął się do jej stóp. Słuchała go, wzruszona, pieszcząc rękoma włosy męża proszącego o przebaczenie... I machinalnie dotknęła palcami jakiejś kartki papieru, która wysunęła się z kieszeni Gerarda i upadła na jej kolana. Miała ją rzucić na dywan, gdy spostrzegła pismo Augusty... wielkie, kwadratowe pismo. Ma się wrażenie, że pisze kostką brukową...

Zerwała się, odsunęła Gerarda i, zbliżywszy się ku niebieskiej lampie, przeczytała półgłosem:

- Uzyskać od niej rezygnację z pensji miesięcznej odszkodowanie za wyjazd dom w Kairze. Wyprostował się, blady, słysząc to i pojmując, że wszystko przepadło w jednej sekundzie i że nigdy nie da się tego naprawić.

- Jocelyne, nie myśl... - zawołał z sercem ściśniętym obawą.

Spojrzała na niego bez słowa. Jak ją przekonać, że był szczery, że tę kartkę napisała Augusta wbrew jego woli i że nigdy nie miał zamiaru od niej czegoś się domagać ani odgrywać przed nią tej podłej komedii?

- Jocelyne, pozwól mi wytłumaczyć...

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. A gdy usiłował się przybliżyć, pobiegła szybko ku drzwiom sypialni i otworzyła je, zanim zdołał temu przeszkodzić. Kiedy oparł się o drzwi całym ciężarem, usłyszał zgrzyt klucza, przekręconego w zamku.

Rozdział 11

Gerard był zrozpaczony. Nie mógł się pogodzić z myślą, że Jocelyne sądzi, iż z chęci zysku odgrywał przed nią podłą komedię; przeklinał chytrą Augustę.

Pragnął za wszelką cenę uniewinnić się w oczach żony.

Lecz jak to zrobić? Pisał list za listem, długie epistoły, w których powoływał się na swą cześć, serce i miłość. Lecz poznawszy jego pismo, zwracała mu listy, nie chcąc o niczym wiedzieć. Wówczas uciekł się do podstępu. Zmienił papier listowy, posługiwał się maszyną do pisania lub prosił kogoś z przyjaciół o napisanie adresu. W takich przypadkach Jocelyne nie odsyłała listów, lecz pozostawiała je bez odpowiedzi.

Udał się do pałacu Foringham. Tonio miał surowe polecenia; wyszedł ze swej jaskini morskiej, lecz oświadczył, że "signora Pasquiera" wyszła. Usiłował zobaczyć się z sir Edgarem, lecz sir Edgar przebywał w Rzymie.

Wówczas młody człowiek zaczął siadywać w kawiarence naprzeciw pałacu Foringham. Przypatrywał się godzinami olbrzymiemu pałacowi z ciosanych kamieni.

Chipette... Jocelyne... przebywała w tych posępnych murach, a ponieważ nie widział jej nigdy wychodzącej z pałacu, domyślił się nagle, że zapewne korzysta z tylnej furtki ogrodowej od Viale dei Colli. Skierował się ku Viale i przekonał się, że można było dostać się do ogrodu, gdyż furka była otwarta. Błądząc po alejach, zadrżał nagle, ujrawszy jakąś młodą kobietę siedzącą tyłem na marmurowej ławce. Zbliżył się z bijącym sercem. Młoda kobieta odwróciła głowę i Gerard rozpoznał księżnę.

- Ach, to pani - powiedział, kłaniając się. - Przepraszam za moje najście, lecz furka była uchylona i nie spotkałem nikogo, kto mógłby mnie zaanonsować...

Lady Helster wykonała gest oznaczający, że nie wzięła za złe tej niepoprawności w zachowaniu.

- Przypuszczam - rzekła - iż chciał pan się tu zobaczyć z żoną?

- Lub z panią, by błagać panią o wstawienie się za mną, gdyż żona jest do mnie uprzedzona i bez łaskawej pomocy pani nie zgodą się mnie wysłuchać ani mi nie uwierzy.

- Przyzna pan, że ma prawo wątpić w pana zapewnienia.

- Ach, proszę pani! - zawołał z rozpaczą. - Czy nie wierzy pani w mą zupełną szczerłość? I z przejęciem opowiedział jej dokładnie, co zaszło owej nocy, gdy odbywał się bal maskowy, dodając, że nie miał zupełnie pojęcia, co ta szalona Augusta napisała na kartce.

- Zresztą, proszę pani - zakończył wymownie. - Co mogłoby mnie pociągać ku żonie, jeśli nie miłość? Nie może to być żadne wyrachowanie, skoro zerwałem z Wilsonem i nie - spodziewam się od niego żadnych korzyści!

Lady Helster przyjrzała się bacznie młodemu człowiekowi. Zauważyła jego bladość oraz szczerze zatroskaną twarz i pomyślała, że na pewno kocha on Jocelyne i że jest pięknym, idealnym mężem, o jakim marzą dziewczęta.

- Pragnę panu wierzyć, lecz przyzna pan, że obecne pana zachowanie jest co najmniej dziwne - powiedziała jednak.

- Nie rozumiem, proszę pani - odparł młody człowiek z głębokim zdziwieniem.

- Twierdzi pan, że kocha pan jedynie swą żonę, a ciągle widuje się z panną Blanchot!

- Niestety, proszę pani, nie mogę temu zapobiec! Panie Blanchot przybyły do Florencji wbrew mej woli i powinny były już stąd wyjechać. Nie mogę ich jednak do tego zmusić. Przestałem się już widywać z panną Blanchot.

Księżna wywnioskowała z jego tonu, że odkochał się już w owej dziewczynie i pożegnała łagodniej młodego człowieka, przyrzekając, że postara się Jocelyne o jego szczerych zamiarach.

- Proszę się jednak zbyt wiele nie spodziewać, gdyż Jocelyne jest niezwykle uparta!

Zawody w San Onofrio zbliżały się i Gerard przypuszczał, że jego żona się tam wybierze. Postanowił pójść również, by spotkać się z nią po raz ostatni, gdyż nazajutrz miał wyjechać do Egiptu. Nie czynił sobie wielkich nadziei i uważał, że między Jocelyne a nim nie idzie już o szczerłość, lecz o uczucie. Jocelyne zapewne po prostu przestała go kochać, o ile kiedykolwiek w ogóle go kochała... Czy można jednak walczyć z obojętnością kobiety i przezwyciężyć ją?

Wsiadając do samochodu, ujrzał niespodzianie Augustę Blanchot, której nie widział od tygodnia.

- Co za szczęście, że pana spotykam - powiedziała bez ceremonii. - Zawiezie mnie pan do Pistoii.

- Nie jadę w kierunku Pistoii i żałuję, że nie mogę pani służyć.

- A jednak byłoby to nadzwyczaj zabawne, gdyby pan mnie tam odwiózł! - zauważyła z szyderczym uśmiechem. - W moim biurku jest zabaweczka, która w razie potrzeby uczyniłaby pana posłusznym.

- Więc do tego doszło? Ślicznie! - rzekł pogardliwie.

I wskoczywszy do samochodu odjechał, nie obejrzawszy się na kobietę z rewolwerem...

Tego tylko brakowało, by mi groziła! - myślał. Czuł wzrastającą w nim pogardę dla tej kobiety. A potem wzruszył ramionami i zapomniał o Auguście, zachwycając się przepięknym pejzażem.

Niebawem zajechał na plac wyścigowy San Onofrio. Fiołkoworóżowe wzgórza otaczały zupełnie biały stadion, który błyszczał jak wykonany z marmuru tor wyścigowy.

Było już dużo ludzi i na trybunie zauważył księstwo Foringham. Odwrócony doń plecami, stał jakiś na niebiesko ubrany kierowca, z ożywieniem rozmawiający z Foringhamami, lecz nigdzie nie mógł dojrzeć Jocelyne i serce ścisnęło mu się na myśl, że może nie będzie jej na zawodach. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że może jego żona jest z sir Edgarem w Rzymie. Przypomniał sobie przepowiednie Augusty, że Jocelyne wyjdzie za baroneta i poczuł ogromną gorycz.

Zamierzając opuścić plac wyścigowy, skierował się ku wyjściu, gdy ujrzał nagle małego, niebieskiego zawodnika, który parę minut temu rozmawiał z księstwem. Gerard zapragnął z nim pomówić, spodziewając się dowiedzieć czegoś o Jocelyne.

Położył lekko rękę na ramieniu zwróconego doń tyłem młodzieńca, a gdy ten się odwrócił, Gerard krzyknął.

Była to Chipette w szoferskim stroju z niebieskiej skóry. Tak, była to „Chipette” a nie „Jocelyne”, gdyż w tym męskim przebraniu odnalazł żywą dziewczynkę z ulicy Francs - Bourgeois. I to wspomnienie przeszłości nie tylko go nie rozgniewało, lecz, o dziwo, wzruszyło niemal do łez.

- Chipette, maleńka Chipette! - szepnął mimo woli. Wyprostowała się i odparła surowo:

- Nikt mnie tu nie zna pod tym mianem, proszę pana. Jestem dla wszystkich Jocelyne Moret.

Ubodło go to, że wróciła do swego panińskiego nazwiska, lecz nie pozwolił sobie na żadną uwagę.

- Czy można wiedzieć, w jakim celu włożyła pani ten dziwny strój? - spytał tylko.

- Mój strój wcale nie jest dziwny. Nie ma nic praktyczniejszego, jeśli się uczestniczy w wyścigach.

- Przypuszczam, że pani jest widzem, a nie zawodnikiem?

- Myli się pan. Za dziesięć minut startuję na moim bugatti.

- Cóż to właściwie za zawody?

- Eliminacje do wielkich międzynarodowych wyścigów w Monza.

- Ale pani nie zamierza chyba uczestniczyć w tym wielkim rajdzie? - zawołał, szczerze przestraszony.

- Właśnie, że zamierzam - odparła zimno.

- Ależ to strasznie niebezpieczne nawet dla mężczyzny. Tym bardziej dla kobiety. Nie można narażać życia tak głupio.

- Prowadzenie samochodu jest zawsze niebezpieczne!

- Ale ja nie mogę dopuścić, by pani popełniła tego rodzaju szaleństwo. Mam pewne prawa i skorzystam z nich, by pani zabronić udziału w zawodach w Monza!

Chipette podniosła wzrok dotąd uparcie spuszczonej i Gerard ujrzał jej błyszczące gniewem oczy.

- To byłaby podłość!

- Bynajmniej - odparł Gerard - gdyż nie muszę się kłębować pani snobizmem.

- Nie jeżdżę przez snobizm lecz dla zarobku! Czy sądzi pan, że będę jeszcze długo korzystała z gościnności lady Helster i wyobraża pan sobie, że sir Edgar kupił mi bugatti dla zabawy? Samochód to mój warsztat pracy, a jeśli uda mi się wyróżnić, będę miała zapewniony byt, gdyż wszyscy konstruktorzy samochodów będą mnie angażowali do zawodów. Już i tak dość nieszczęśliwie się złożyło, że nie mogłam w zeszłym miesiącu brać udziału w Targa Florio!

Słuchał z osłupieniem. Więc pod delikatną powłoką Chipette i dystyngowanym uśmiechem Jocelyne kryło się

stanowcze postanowienie prowadzenia niebezpiecznego i odważnego trybu życia?

- Podziwiam panią - powiedział z szczerym przekonaniem. - Lecz nie mogę pozwolić, by moja żona, dopóki ją utrzymuję, narażała życie dla zarobku.

Chciał jej zabronić ubiegania się o puchar, od którego zależała jej cała przyszłość! Zapewne „ta jego Augusta” poddała mu ten sposób tyranizowania jej.

- Proszę się nie lękać niebezpieczeństw, na jakie się narażam, gdyż w razie mojej śmierci byłby pan jeszcze wcześniej wolny, aby poślubić swą ukochaną Blanchot! - krzyknęła z furją.

Rzucił się ku niej i chwycił ją za rękę.

- Nie mówmy więcej o niej - powiedział drżącym głosem.

- Obawia się pan, że uchybię ideałowi? Proszę się nie zapierać, gdyż mimo tego, co mi powiedziała księżna, nie uwierzę panu nigdy!

I, wyrwawszy się, pobiegła jak szalona do miejsca, w którym stał jej samochód.

Nie mógł nadażyć za nią w gęstym tłumie i pozostał wśród widzów, miotany smutnymi przeczuciami.

Wkrótce ruszyły pierwsze samochody, wjeżdżając na owalną bieżnię. Zakręty zaginały się jak szpilki do włosów i widzowie nie mogli powstrzymać okrzyku, gdy zawodnicy rozwijali pełną prędkość, a ich samochody pochylały się tak, jakby się miały wywrócić.

Biały, smukły jak ryba bugatti zdawał się lecieć w powietrzu. Jocelyne była prawie niewidoczna, zaledwie dostrzegało się jej głowę przybraną w niebieską czapeczkę. Publiczność emocjonowała się najwięcej jej samochodem, gdyż rozwijała na zakrętach piorunującą szybkość,

- Ta mała Francuzka to diabeł. Nie wiadomo, co jej się stało, bo zazwyczaj kieruje równie ostrożnie, jak śmiało. Ale

dzisiaj wpędza się sama do grobu! - mówili ludzie za plecami Gerarda.

Pasquier był trupio blady. Wiedział, dlaczego Jocelyne straciła zimną krew. To on swą głupią sceną zakłócił jej spokój, wytrącił z równowagi koniecznej dla osób, które, biorąc udział w wyścigach, muszą mieć odpowiedni zasób energii. A jeśli to było niezbędne dla mężczyzny, to co dopiero, gdy chodziło o kobietę, niemal dziecko? Gdyby Chipette zabiła się, on byłby winien śmierci tego ślicznego i dzielnego stworzenia.

Jocelyne ukazała się na zakręcie po raz czwarty i miała jeszcze raz przebyć niebezpieczny skręt.

I nagle, zanim jeszcze doń dojechała, dał się słyszeć suchy trzask opony i Chipette, wypuściwszy z rąk kierownicę, została wyrzucona w tłum widzów, niespełna dziesięć metrów od Gerarda, podczas gdy samochód roztrzaskał się o nasyp.

Powstała ogólna wrzawa i Gerard, rozgarniając tłum nogami i rękami, dotarł do niej.

Chipette leżała na ziemi i nikt nie miał odwagi jej dotknąć. Gerard ukląkł, pochylił się nad delikatną niebieską sylwetką.

- Jocelyne!

Otworzyła natychmiast oczy, wydawała się zdziwiona, wstała bez wysiłku.

- Nic mi się nie stało! Ludzie posłużyli mi za zderzak. Bardzo to ładnie ze strony państwa. Czy nikt nie jest ranny? Żebym tylko nie została zdyskwalifikowana! A czy wóz da się naprawić? - powiedziała wesoło.

- Proszę się na mnie oprzeć i pójdziemy się czegoś napić - powiedział Gerard, którego dotychczas zdawała się nie dostrzegać.

Nagłym ruchem odsunęła się od niego.

- Proszę mnie uwolnić od tego człowieka, który podaje się za mego męża - rzekła do otaczających ich ludzi.

I zanim zdołał zaprotestować, oniemiały z powodu zachowania się żony, która tak jawnie go się wyparła, tłum odtrącił go i triumfalnie poniósł Chipette, zachwycony jej „tupetem”.

Rozdział 12

Powróciwszy z zawodów Gerard napisał natychmiast dwa listy. Pierwszy brzmiał następująco:

Do Pani Jocelyne Pasquier.

Wyjeżdżam jutro do Kairu sam, zupełnie sam. Będę tam Pani nieustannie oczekiwał. Pani pokój będzie co dzień gotów, a nakrycie przy moim stole samotnika przygotowane w nadziei, że pewnego dnia, posłuszna obowiązkom małżeńskim - gdyż nie śmiem oczekiwać porywu serca - kobieta, którą kocham i szanuję, moja jedyna, moja żona, raczy się zjawić na mym progu i zostać przy mnie na całe życie.

Gerard Pasquier

Drugi list, wystosowany do Augusty Blanchot był tej treści:

Kochana Augusto!

Przypomina Pani sobie ów wieczór, gdy Pani przyjechała w marcu do Florencji? Nie spodziewałem się Pani tak dalece, że nie mogłem uwierzyć, iż to Pani zwróciła się ku mnie, mimo że byłem związany i nie mogłem Pani nic przyrzec. Pamięta Pani, jak żartowała Pani z mych skrupułów, zapewniając, że nie bawi Pani we Florencji dla mnie, lecz chciała spędzić we Włoszech wiosnę i że nie wymaga Pani ode mnie niczego, gdyż nic Pani dla mnie właściwie nie poświęciła.

Ach, gdybym był owego wieczora wolny, byłbym złączył moje życie z życiem Pani! Byłem jednak zależny od woli innej kobiety. Później dziwiła się Pani, stwierdzając niejednokrotnie różnice naszych charakterów. Często nie ukrywała Pani, że uważa mnie za zbyt mało ambitnego i powoli zrozumiałem, że nie mam warunków, by się pani podobać.

Wreszcie moja żona przybyła do Florencji i mogła się Pani przekonać tak samo jak ja, że wszelkie moje dawne

pretensje były bezpodstawne. Czuła Pani, że nie należało zrywać mego związku. Wszystko wskazuje na to, że nie będziemy nigdy mogli się porozumieć. Nie potrafię Pani zapewnić świetnej egzystencji, jakiej wymaga Pani uroda. Życzę więc Pani tylko szczęścia i pomyślności na nowej drodze, na jaką Pani wchodzi.

Gerard Pasquier

Młody człowiek przeczytał owe dwa listy i z przykrością stwierdził, że pierwszy był taki krótki, lecz nie śmiał pisać do żony czułości. Czyż nie wzgardziła wszystkimi wyjaśnieniami i oświadczeniami, jakie jej złożył. Czy miał kusić Chipette opisami ich wspólnego życia w Kairze, pomiędzy Nilem i piramidami, między grobem, który pozostaje a rzeką, która przepływa na skraju pustyni, której rozpalony oddech zdaje się radzić zakochanym, by do szaleństwa wykorzystali uciekający czas? Miał jej opowiadać o białej willi w cieniu palmowych drzew? Brakło mu odwagi. A poza tym czas naglił. Co do Augusty, to poznał już dokładnie jej fałszywy charakter...

Za czterdzieści osiem godzin będę na morzu - pomyślał.

I serce mu się ścisnęło w przeczuciu jakiegoś tragicznego rozwiązania, podczas gdy się zastanawiał: Na morzu... sam? Czy z nią?

W pałacu Foringhamów list Gerarda otrzymał najpierw Tonio w głębi jaskini malowanej przez Ghirlandaja i ważył go w rachitycznych rękach trytona. Ani Jocelyne, ani księstwo nie wrócili jeszcze z zawodów. Poleciał zanieść pismo do zielonego salonu, a pokojówka Franciszka, bez żadnych symbolicznych zamysłów, oparte je o grupę Amora i Psyche.

Niebawem pani Pasquier wróciła z San Onofrio i, wchodząc do salonu, rozpoznała na kopercie pismo męża. Przysięgła sobie, że nie będzie czytała żadnych jego listów, lecz była jeszcze przygnębiona doznanym wypadkiem i wyrzucała sobie jednak w duszy, że zbyt brutalnie

potraktowała Gerarda. Czy nie lękała się przez chwilę w San Onofrio, że tłum, wprowadzony w błąd jej kłamstwem, wystąpi przeciwko Pasqujerowi? Miała nieczyste sumienie i drżącą ręką otworzyła kopertę. Przeczytawszy list podeszła do starej, zaśniedziałej szkatułki z herbami kardynała Hipolita Medyceusza, otworzyła tajemniczy zamek i wydobyła z niej listy męża...

Och! Wcale ich nie spaliła!

Była głucha na te prośby i nie chciała mu wierzyć. Jeśli jednak ta Blanchot nie stała na jej drodze - jak ją zapewniał - czy wolno jej było dłużej wątpić?

W tejże chwili zapukano do drzwi salonu. Weszła księżna. Jocelyne podała jej w milczeniu list Gerarda. Lady Helster przeczytała go i spojrzała na młodą kobietę.

- Więc rozstaniemy się jutro, Chipette? - spytała.

Dziewczyna wybuchnęła płaczem:

- Nie - rzekła. - Pani była dla mnie zbyt dobra, nie mogę się z panią rozstać!

- Ach, dziecko! - odparła księżna. - Nie odtrącaj celu, do którego dążyliśmy wszyscy i nawet, jeśli nie entuzjasmujesz się już Gerardem, to powinnaś z nim wyjechać.

- A zawody? Nie zdyskwalifikowano mnie i obiecałam wziąć udział w rajdzie w Lombardii.

- Ale przysięgła pani też nie opuszczać nigdy męża.

- A mój bugatti?

- Doszczętnie zniszczony - odrzekła, śmiejąc się księżna.

- Poczciwy samochód nie chciał stać na przeszkodzie pani wyjazdowi.

- Ależ ja biorę mą pracę poważnie, proszę pani! - krzyknęła z oburzeniem Jocelyne.

- Moje dziecko - powiedziała poważnie lady Helster - podziwialiśmy cię, gdy nie opuściłaś rąk z powodu postępowania Gerarda i postanowiłaś stworzyć sobie

niezależny byt. Sir Edgar bardzo chętnie kupił pani samochód, lecz mieliśmy nadzieję, że nie będzie on pani potrzebny. Wszystko przemawia za tym, iż pani kocha swego męża. Odkąd ujrzała go pani znów we Florencji, wyładniała pani jak drzewko, które rozkwita wiosną, a po balu - po tej nocy florentyńskiej, Jocelyne - marzy pani tak często, że jestem pewna, że kocha pani swego pięknego Gerarda i ma pani słuszność. Zasługuje na to.

Chipette słuchała słów księżnej z przymkniętymi oczami; przypomniawszy sobie przybycie do Florencji, wzruszenia, doznawane przy każdym spotkaniu z mężem, czarowną noc florencką i zmieszanie, jakie przeżyła kilka godzin temu, kiedy pochylił się nad nią po wypadku na torze wyścigowym. I nagle otworzyła błyszczące oczy.

- Nie, nie, nie kochani go! - zawołała.

Po czym, przytuliwszy się do księżnej, szepnęła:

- Ubóstwiam go!

Nie myślała już zupełnie o Auguście...

Zacząła się gonitwa za paszportem. Na szczęście Foringhamowie mieli duże stosunki. Zaraz wieczorem zaczęto telefonować. Poruszono wielkie osobistości i wyrwano z apatii skromnych gryzipiórków. Cały następny dzień upłynął na przygotowaniach do podróży. Jocelyne zadepeszowała do matki i umówiła się z nią, że starsza pani spędzi przyszłą zimę w Kairze. Szykowano walizy. Trzeba było spakować podarunki: srebrny serwis do herbaty - dar księcia, nesoser toaletowy z kości słoniowej, ofiarowany przez księżnę, i inne drobnostki.

Jocelyne nie odpowiedziała jednak słowa mężowi.

- Tak bym chciała zobaczyć się z kochanym wujaszkiem Wilsonem i podziękować mu - mówiła zrozpaczona. - Pani była dla mnie dobrą wróżką, a on duchem opiekuńczym.

- Zatelefonuję do niego do Rzymu - odparła lady Helster.
- Pociąg wasz, zanim wyjedzie do Neapolu, zatrzyma się na pięćdziesiąt minut w stolicy. Sir Edgar spotka was na stacji. Będzie uszczęśliwiony, że się pogodziliście.

Głos księżnej załamał się nieco przy tych słowach, gdyż przypomniała sobie tajemnicę Wilsona. Finansista, o sercu ze stali, kochał Chipette miłością beznadziejną, lecz nie pozbawioną żalu. I na widok swej „ptaszyny” odlatującej za morza, by się zgubić daleko, w złotych piaskach Egiptu, serce sir Edgara okryje się żalobą, nawet gdyby usta zdołały się uśmiechnąć...

Wreszcie wszystko było gotowe, lecz Jocelyne przybyła na dworzec dosłownie w ostatniej chwili, gdy zamykano drzwi pociągu do Neapolu. Wskoczywszy na stopień, otworzyła drzwiczki i znalazła się w korytarzu, kiedy pociąg już ruszał.

Wychylona z okna, żegnała się z księstwem i Florencją.

Lecz w tejże chwili Gerard, dojrzawszy ją z daleka, szedł ku niej blady.

- Jocelyne! Umieram z radości!

W przedziale zapadł zmierzch i czuło się coraz silniejszy zapach polnych kwiatów. Powoli oszalała ich woń ostatnich róż wiosennych. Upojony Gerard pochylił się nad drżącą młodą kobietą.

- A my - szepnął - rozpoczniemy życie uwieńczone miłością, jeśli mi przebaczyłaś...

Nie odpowiedziała, lecz otoczyła pieśczośliwie ramionami szyję męża i noc otuliła aksamitną zasłoną rozkochanego do szaleństwa młodzieńca i kobietę, która nie miała być już dlań żoną na jeden wieczór, lecz na całe życie...